Numer 38 Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 18 Września 1927

ROLA

KRAKÓW, ulica św. Tomasza 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Zdaje im się tylko.

— Czy to prawda, że ludzie żonaci dłużej żyją od kawalerów?

— Wcale nie! Żonatym wydaje się tylko żywot dłuższy...



W szpitalu.

Lekarz: Jak się ma aktor? czy dajecie mu co dnia łyżkę Tokaju?

Służący: Nie, bo dwadzieścia łyżek wziął naprzód jako zaliczkę przed tygodniem.



Także środek.

— Proszę ojca, dlaczego ojciec przychodzi do domu urżnięty?

— Żeby ci pokazać, smarkaczu, jaka to wstrętna rzecz pijaństwo i obrzydzić ci wódkę, gdy będziesz dorosłym!

U golarza.

Do golarni wchodzi jakiś facet, a chcąc być dowcipnym pyta:

— A strzyże pan i psy?

— Proszę bardzo — niech pan dobrodziej siada, odpowiada golarz — podsuwając krzesło.



Z ulicy Szpitalnej.

Żyd: Panie, kup pan sobie ten rewolwer!

Facet: A cóż mnie djabli po rewolwerze?

Żyd: Ny, a co pan chce wiecznie żyć?



Uczciwy.

— Sara, mówi Moryc do żony, powiedz, że dajesz mi 1500 zł. za ten tytoń.

— Dobrze, ja tobie daję 1500 zł. za ten tytoń.

Moryc zadowolony idzie na miasto sprzedać tytoń. Jeden z handlarzy ofiaruje mu 1200.

— A szlag ciebie trafi — krzyczy Moryc, żebym tak z miejsca się nie ruszył, jak nie dawali mi 1500 zł.

Numer 38. Rok X. Kraków, dnia 18 Września 1927

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Kształćmy serca nasze!

Wielostronne życie tegoczesne z wciąż nowemi wymaganiami, obowiązkami i prawami, z ogólnem współzawodnictwem równouprawnionych we wszystkiem jednostek, wymaga ludzi wykształconych, ale posiadających nietylko wykształcone umysły, lecz i serca — ludzi, którzy jednocześnie umieją myśleć i czuć.

W czasach, w których pokusa w tysiącznych postaciach zbliża się do człowieka, w których zły przykład zbyt często zachęca do naśladownictwa, kiedy nawet ogólnie przyjęte zasady moralności podlegają powątpiewaniom i chwieją się w swych podstawach, staje się rzeczą podwójnie konieczną, by człowiek prócz wiedzy nagromadzał w sobie zasób siły moralnej, żeby sobie urządził zbrojownię, któraby mu dostarczyła broni przeciwko wszelakim pokusom

Ciężka walka o byt dla nader wielu stała się gorżką prawdą; samolub, stłumiwszy zarzewie wszelkich szlachetniejszych uczuć, szuka zadowolenia swoich zachceń, nie bacząc na krzywdę innych istnień. Kto zaś nie posiada zdolności lub chęci odpowiedniego przystosowania się, musi ulec w walce życiowej.

Jak więc własne tak i ogólne dobro wymaga przeciwdziałania i pracy kształcącej serca nasze. Do tego dążyć musimy całą siłą, pamiętając, że uczucia potężne były i są zawsze jedynemi dźwigniami wielkich czynów w dziejach ludzkości, nadając rozumowi tę siłę, co zniewala i do uznania prawdy nakłania. W naszych czasach panowania jednostronnej kultury, rozumu i wykształcenia przeważnie teoretycznego tembardziej potrzeba wytworzyć jakąś przeciwwagę w postaci kształcenia serca.

Potężną dźwignią ku temu jest wykształcenie, dające nam rozkosze, płynące z podziwiania piękna. Błogie skutki same się zjawią.

Kto zmęczony zabiegami o chleb powszedni ucieka się do ołtarza sztuki pod jakąkolwiek postacią, poczuje ulgę i wyzwolenie z więzów potrzeb zmysłowych, a palące jego żądze uśmierzą się i boski spokój rozleje się po strwożonem sercu. Kto tak poddaje się działaniu piękna, ten doszedł do estetycznego poglądu na życie t. j. zapatruje się na nie pod łagodnym wpływem wywieranym przez piękno. W ten sposób serce uszlachetnione staje się źródłem moralności.

Człowiek wykształcony estetycznie zwróci się ku cnocie, jako najwyższemu pięknu. A piękno nietylko czyni człowieka lepszym, lecz pomaga mu przeżyć niejedną czarną godzinę, opromienia nędzę i mozoły życia, dostarcza człowiekowi wiele szlachetnych i czystych rozkoszy — kształci serce.

Posłannictwo ludzkości nie jest obiegiem kołowym, lecz ciągłym ruchem postępowym ku prawdzie i sprawiedliwości. Jutrzenka ducha opromienia czoło ludzkie i nowe budzi pragnienia, a na wiecu ludzkości upada idea walki, zemsty i nienawiści, a zwycięża idea miłości.

Do spełnienia pragnień tych każdy człowiek przyłożyć powinien swą cząstkę. Porzućmy postępowanie jednostronne, nie zasklepiajmy się jak ślimak w skorupie, w dziedzinie swego zawodu, dawajmy karm uczuciom moralnym i estetycznym, kształćmy w sobie to, co mamy najlepszego — uczucie.

Pamiętajmy, że nietylko uprzywilejowani mogą osiągnąć niepośledni stopień wiedzy i wykształcenia estetycznego, które jest jednym z najszlachetniejczych i najsilniejszych czynników podniesienia moralności.

Na nic nie zdadzą się człowiekowi największe rozumy, jeżeli mu braknie serca, jeżeli w swych postępowaniach nie będzie kierował się sercem i za wskazaniami serca postępował. A więc, nie zaniedbując kształcenia umysłu, kształćmy przedewszystkiem serce.

Staw św. Małgorzaty.

Stary Bytom.

W XIV wieku po narodzeniu Jezusa Chrystusa był Bytom na Górnym Śląsku miastem o wiele większem, potężniejszem i bogatszem aniżeli teraz. Miasto też otaczały wonczas potężne mury i fosy, tak, że oprzeć się ono zdołało napaści wroga; istniejących bram znowu, jako krakowskiej, gliwickiej i tarnowskiej, strzegły liczne cechy rzemieślników, a chociaż miasto należało w połowie do młodego małoletniego księcia na Koźlu, w imieniu którego rządził Przemysław, książę Cieszyński, burmistrz jednak bytomski z Radą swoją mógł i śmiercią karać i wszelkie wyroki na mieszczan podwładnych wydawać. Rządziło się bowiem miasto prawem tak zwanem Magdeburskiem. Bogactwa było w mieście aż za wiele. Do miasta bowiem należały kopalnie ołowiu i srebra, to też nietylko dostatek, ale nawet zbytek panował wśród mieszczan. Opowiada stare podanie, że mieszczanie, nawet kołyski dla dzieci i łóżka dla siebie ze srebra robić kazali.

Było też i kościołów kilka w Bytomiu, a mianowicie kościół farny murowany pod wezwaniem św. Andrzeja, kościół Franciszkanów, których tam sprowadził Konrad ks. Oleśnicki; kościół św. Ducha, przy którym mieszkali księża Bożogrobcy, tj. Kanonicy, stróże Grobu Chrystusowego, noszący na płaszczach podwójny czerwony krzyż (utrzymywali oni w Bytomiu szpital i zaopatrywali ubogich i chorych); wreszcie kościół św. Małgorzaty za miastem nad stawem, przy którym mieszkali Kanonicy Premonstranci, na Śląsku zwani Wincentynami od głównego ich opactwa św. Wincentego pod Wrocławiem.

Mimo tylu jednak kościołów nie było w Bytomiu wielkiego ducha pobożności, bo gdzie zbytek panuje, tam nawet człowiek rośnie w zarozumiałość i dumę, zapomina o Bogu i religji i pohopniejszym się staje do wszelkich występków. Tak też działo się z mieszkańcami Bytomia. Wzrósłszy w dostatki pomiatali innymi, niczem sobie ich ważąc i tylko ufali w swoje skarby. W miarę jak rosły ich dostatki, wzrastała zarazem i chciwość ich utrzymania i powiększenia. Pycha i zarozumiałość popchnęła ich nawet do strasznej zbrodni czyli do podniesienia ręki na pomazańców Bożych, to jest, na kapłanów. Jak to się zaś stało, opowiemy.

Pan burmistrz Fabrycy.

Było to w roku 1364. Tuż koło ratusza wznosiła się wspaniała murowana kamienica, należąca do burmistrza miasta, Fabrycego. W jednej z przepychem urządzonych komnat siedzi przy stole dwoje ludzi.

Jeden rozparty na szerokiem, pozłacaną skórą obitem krześle, jest mężczyzną lat około 40, postaci okazałej. Przybrany w strój czarny, w oczach jego odbijają się błyskawice gniewu i słucha z uwagą opowiadania naprzeciw siedzącego, a w miarę tego opowiadania znać, jak i złość jego się wzmaga.

Siedzący naprzeciw niego, ubrany jest w zwykłą mieszczańską kapotę. Ręce jego grube, spracowane, lubo to po jego wyglądzie poznać natychmiast, że niedostatku nie zna, chociaż każdy na pierwszy rzut oka musi wyznać, że człowiek ten pracą jedynie dorobił się majątku. Jest to pan cechmistrz kopalni bytomskiej, Wojciech Pełkowicki, a siedzący naprzeciw niego, to burmistrz miasta, pan Fabrycjusz.

Na stole przed rozmawiającymi stał srebrny dzban z miodem i dwa również srebrne kubki.

— Raz jeszcze opowiedzcie mi panie Wojciechu, jak i co Jegomość z Koźla się wypytywał. Nie sądźcie bowiem, że to prosta tylko ciekawość nim powodowała, iż koniecznie chciał wiedzieć, ile nam kruszcu nasze kopalnie wydają. Jużto ja dobrze miarkuję, co się tu święci.

— Stałem sobie koło szybu — odrzekł cechmistrz — gdy drogą od lasu Miechowskiego nadjeżdżał Jegomość Ksiądz Pleban. Ujrzawszy mię, powitał staropolskiem pozdrowieniem, a gdy podziękowawszy, odpłaciłem wzajemnością, zsiadł z konia i pytał: Jakoż tam mości cechmistrzu? spracowany odpoczywacie nieco? — A jakże, proszę Jegomości, ciężka praca pod ziemią, toć człowiek i kontent, gdy spojrzy na świat, ogrzeje się przy słonku i odetchnie świeżem powietrzem. I zaraz począł wypytywać, ilu robotników pracuje w kopalni naszej, ile też ołowianego, a ile srebrnego kruszcu się dobywa, co za zysk miastu z tego rocznie przypada w udziale, a pogadawszy jeszcze o tem i owem, wsiadł na koń, pozdrowił i odjechał ku plebanji. Z całej jednak rozmowy wnoszę, Mości Panie burmistrzu, że to zupełnie niewinna ciekawość nim powodowała. Nie ufajcie zbyt temu Kaczynie woźnemu, on ma coś do Księdza Plebana i często dał się słyszeć ze swoją nienawiścią ku niemu. Jegomość Ksiądz Pleban to Kapłan gorliwy i pobożny, złości w nim nikt nie dopatrzy.

— To już moja rzecz zbadać i ocenić, poco się Ksiądz Pleban wypytywał, bo mię o tem już słuchy doszły od dawna. Jestem ojcem i głową miasta, muszę bronić jego interesów i niech sobie ten narzucony nam przez księcia Cieszyńskiego Pleban nie myśli, że się mu damy! Zaleję ja mu jeszcze gorącego sadła za skórę! Mało mu jeszcze tych dochodów? Dwie włóki gruntu każda po 30 mórg, kawał lasu, dziesięciny, a teraz może zachciewa się jeszcze klechowi dziesięciny z naszej kopalni? Ha! jakem Fabrycy, jakem burmistrz Bytomia, nigdy na to nie przyzwolę!

Tu pan burmistrz uderzył pięścią tak silnie w stół, że aż kubki podskoczyły, a zerwawszy się z siedzenia, począł wielkiemi krokami przechadzać się po komnacie.

Cechmistrz nic się nie odzywał. Żal mu było serdecznie, że tak zacnego kapłana szarpano niewinnie na sławie, posądzano o chciwość najniesłuszniej, ale nie odezwał się ni jednem słowem. Znając bowiem dobrze burmistrza, wiedział, iż byłoby to daremnem.

Chwilę jeszcze chodził burmistrz po izbie, znać układał sobie w głowie plan jakiś, wreszcie stanąwszy przed cechmistrzem, rzekł do niego:

— Idźcie mości panie cechmistrzu do waszej pracy, którą wam przerwałem, wzywając do siebie. Nie mównie nikomu o naszej rozmowie. Może i wy słuszność macie. Ha! może tylko z ciekawości się pytał. Z Bogiem!

— Z Panem Bogiem! — odrzekł tenże, a skłoniwszy się czapką do kolan burmistrzowi, opuścił komnatę.

Słowa burmistrza nie uspokoiły jednak obaw jego co do Księdza Plebana; od dawna wiedział, że pan Fabrycy jest otwartym i zaciętym wrogiem duszpasterza, nie wierzył przeto w szczerość jego słów ostatnich. Ciężko mu było na sercu, widział bowiem, że się coś niedobrego dla zacnego Kapłana gotuje.

Burmistrz tymczasem kazał po odejściu jego zawołać do siebie woźnego Kaczynę.

Był to człeczyna niewielkiego wzrostu, szczupły, wiecznie się kłaniający i napół zgięty, gdy mówił do osób wyższych od siebie, a grubjanin i zdzierca względem niższych, lub mających jaką prośbę i sprawę w magistracie. Przez swoje pochlebstwa, płaszczenie się i różne donoszenia potrafił zdobyć łaski burmistrza, tak że słowu jego zupełnie ufał, sądząc, iż Kaczyna jest mu w zupełności oddany.

Wszedłszy do komnaty burmistrza, stanął woźny pokornie u samych drzwi, ukłonił się głęboko, dotykając czółem nieomal ziemi i z okiem chytrem, utkwionem w twarz władcy miasta, milcząc oczekiwał, co mu ów poleci.

— Pójdziesz dzisiaj — nie! teraz zaraz do wszystkich panów radnych i zaprosisz ich na pilną naradę, mającą się odbyć dwie godziny przed wieczorem w ratuszu. Powiedz im zarazem, żeby się wszyscy do jednego zebrać chcieli, bo to rzecz wielkiej nader wagi, co szczególniej ich najwięcej dotyczy. A nóg nie żałuj! Obiegnij ich szybko, teraz właśnie ma się ku południowi, toć najsnadniej ich przy strawie dopadniesz.

Skłonił się burmistrzowi Kaczyna znów tak nisko jak przedtem i zabierał się do odejścia, by spełnić poruczone mu zlecenie, gdy burmistrz skinieniem go zatrzymał i tak jeszcze przemówił:

— Zadowolony jestem, że masz oko czujne i służysz wiernie mnie i miastu, które ci chleb daje. Staraj się i nadal zwracać uwagę i na Plebana i na tego cechmistrza. Ja nie bardzo mu ufam i zdaje się, że należy on do jego popleczników. Nagroda cię za to nie minie, zresztą wiesz, że lubię być hojnym względem tych, co mi wiernie służą. Masz drogi dość przed sobą, zabierz więc dzban z miodem i pokrzep się na drogę, a tu zadatek mej ofiarności.

To mówiąc, podał mu kilka sztuk drobnej monety srebrnej. Kaczyna skłoniwszy się, pocałował go w kolano, chwycił dzban z miodem i wybiegł szybko z komnaty. Dodać trzeba, że lubiał on zaglądać do dzbanka i wiele na zaspokojenie tego upodobania potrzebując, przez pochlebstwa, szpiegostwo starał się zdobyć łaski i datki od tych, którym służył.

Posiedzenie radnych miasta.

Przybrany w czarny urzędowy ubiór z kordem przy boku, jako na burmistrza sławnego miasta przystało, zawiesiwszy w dodatku na szyji złoty łańcuch, udał się pan Fabrycy do ratusza, gdzie się powoli radcy zbierali. Przybywszy tutaj, zajął miejsce na podwyższeniu poza stołem nakrytym bogatym dywanem, na którym woźny umieścił krzyż Chrystusów i dwie palące świece. Po prawej i lewej stronie zasiedli według starszeństwa ławnicy, a na obliczach ich widać było powagę i przejęcie się dostojnością tego urzędu. Tuż przy drzwich obrad stanęli słudzy miejscy, woźny w swym urzędowym stroju, kat z gołym mieczem, na znak, że bytomskiemu magistratowi przysługiwało prawo karania śmiercią, wreszcie dwaj słudzy z powrozami i kijami i straż miejska, składająca się z 12 halabardzistów. Byli to tak zwani hajducy; do służby tej brano młodszych towarzyszów cechu kowalskiego. Na dany znak burmistrza, wszyscy ci słudzy opuścili salę obrad, narada bowiem miała być tajemną.

Zagaiwszy posiedzenie według zwyczaju, wniósł burmistrz pod obrady sprawę Księdza Plebana Piotra z Koźla.

— Nie! — wołał, zapalając się burmistrz — nie! nigdy na to nie powinniśmy zezwolić, byśmy jeszcze i z kopalń naszych mieli płacić dziesięciny Plebanowi. Czyż małe są jego dochody? Bronić się powinniśmy wobec tego całą siłą. Temci bardziej zaś, że to nie jest Pleban, któregobyśmy sami sobie obrali. Narzucony nam tylko, a teraz wyzyskiwać nas jeszcze pragnie!

Otóż nadmienić wypada, iż Księdza Piotra osadził na probostwie bytomskiem Przemysław, książę na Cieszynie, wbrew woli magistratu bytomskiego, który dotąd miał prawo przedstawiania na Proboszcza, czyli jak się to mówi, był kolatorem. Już z tego powodu rozjątrzony był zdawna magistrat przeciw niemu. Teraz zaś tem więcej zaogniła się ta nienawiść, gdy każdy pomyślał o tem, że wskutek dziesięciny ich dochody i udział na każdego przypadający uszczuplić się musi. To też ledwie burmistrz skończył swe wywody, wszyscy jakby jednym głosem zawołali: Nie, na to nigdy, póki świat świaatem nie pozwolimy!

Rozpoczęły się obrady, jak zniweczyć zamiary Proboszcza. Burzliwe to było i długie posiedzenie, a późno już wieczorem powzięli panowie radcy następujące uchwały:

Żeby wysłać w tej sprawie kilku radców do księcia Oleśnickiego, który był właścicielem połowy Bytomia i miał więcej znaczenia u mieszczan; sprzyjał im bowiem i schlebiał Konrad Biały na każdym kroku, myśląc, że tym sposobem z czasem i drugą połowę miasta zagarnie pod swoją władzę.

Powtóre: żeby zaprzestać uczęszczać do kościoła farnego, a chodzić do kościoła św. Małgorzaty i tam czynsze i dziesięciny oddawać.

Rzeczywiście wybrano czterech radców, a pomiędzy nimi Wojtachę, syndyka, Lorenza, mistrza rzeźnickiego, aby ci udali się niezwłocznie do księcia Konrada Białego i przedstawili mu uchwały zapadłe, prosząc go o opiekę nad uciemiężonymi mieszczanami bytomskimi. Skarbnik miejski wyliczył im na koszta podróży po kopie szerokich praskich groszy ze skarbony miejskiej, poczem pan Fabrycy zamknął posiedzenie i radcy rozeszli się do domu. Wracając, przechodził burmistrz koło fary. W jednem z okien błyszczało światło i widać było plebana, modlącego się z brewiarza.

— Nie długo tu już twego popasania — zawołał, wyciągając z groźbą pięść w stronę fary, a radość szatańska błyszczała mu z oczu — już my cię wyświęcimy za bramy Bytomia, wyrzutku społeczeństwa! Bytomskich skarbów ci się zachciewa? Raczej ciebie do najgłębszego szybu wtrącić każę, niż na jeden grosz dziesięciny przyzwolę.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Odlot ptaków.

Smutno szumią ciemne lasy,
Czuć w ich ruchach żal,
Nie zostanie nic z ich krasy,
Wszystko pójdzie w dal...

Zwolna milkną ptaków gwary —
Lecą w ciepły kraj,
Tylko mały wróbel szary
Strzeże swoich staj...

Smutno leżą łąki, pola —
Zimny wicher gna,
I jednaka wszystkim dola:
Z naszych wspomnień łza.

Szymon Tadanier.



Maciek Bzdura gada:

Jak się człekowi chce jeść, to se sam poi, jak się chce pić, to się sam napije, jak się mu chce spać, to jak go ino pchły nie kąsają, to się sam wyśpi, a nawet jak mu się chce pobawić, to się sam pobawi, choćby nie przymirzając piaskiem na gościeńcu. Ale inacej ma się rzec z kochaniem. Choćbyś był niewiada cem, to do kochania trzeba koniecnie drugi osoby, i to nie byle kogo, ale dzieuchy, albo baby. Lecego tak jest, to nie wiem, ale że jest, to jest, bo już tak Poniezus świat stworzył i tego już nikt nie odmieni.

Bo weźmy na to: dadzą ci gosposia donickę ziemniaków, abo miseckę boszcu, to nie będzies do tego wołał Maryny, ani Kaśki, ale sam tu śturnies łyżką, tam chlapnies i już po wszyćkiemu i ani nie wis, kiedy ci trzeba gębę rękawem obetrzyć. Trafi ci się napitek, to ani się oglądał nie będzies za żadną kubitą, ale głowę przechylis, łyknies i jak pierun z jasnego nieba do ostatniej kropli w siebie wlejes. I spanie ostatecnie bez baby jakosik się obejdzie. Weźnies na siebie jaką taką haderę, pod głowę waciołecek i śpi się galantno, a nawet lepiej jak przy babie, bo w bliskości baby zawse trzyma się pcheł co niemiara, które ci żyć na świecie nie dadzą. Kces się bawić, to lepiej ci idzie choćby z mietłą, abo z jakiem inksem domowem narzędziem, jak z babą, bo mietła zawse będzie robiła to, co kces, a niewiasta nie zawse cię usłucha, a często i z pazurami do ciebie skocy.

A z kochaniem to już całkiem inacy! Choćbyś bez cały dzień do siebie ślipia na wszyćkie strony przewracał, choćbyś wzdychał, jak organistowe dudy na chórze w kościele, to ci nic z tego nie przyjdzie, bo tak do przewracania ślipiami, jak i do wzdychania musi być ktosik, ktoby to widział i słyszał. A tem, ktosiem musi być niewiasta, bo do chłopa ani przewracanie, ani wzdychanie nigdy się nie uda. Do kochania musi być więc on i musi być ona. On sam i ona sama nic nie poradzą i z taki mąki chleba nigdy nie będzie.

A nie ino, że musi być on i ona, ale ona musi chcieć i on musi chcieć, bo jak ona chce, a on nie, albo jak on chce, a ona nie, to z całej roboty nici. I tem właśnie róźni się kochanie od spania, jedzenia, cy picia, bo przy tych wszyćkich robotach wystarca, jak jedno chce, a przy kochaniu musą oboje chcieć i to odrazu.

I takie właśnie na obie strony kochanie, to się nazywa miłość, a jeżeli się odbywa ino na jedną stronę, to jest całkiem niepotrzebne zawracanie głowy i daremna strata czasu. A przecież wiele razy tak się dzieje, że zakocha się Józek w Kaśce i chciałby, a ona ani be, ani me. I co tu z tego powiadam! Ślipia się nadarmo psuje, piersi se nadurno zrywa i po próźnicy go cholera bierze i nic mu z tego nie przyjdzie. Bo wiadoma rzec, że jałówkę se kupić można, chałpę se kupić można, a nawet śrybny zygarek za pieniądze dostanie, ale kochanie musi z serca pochodzić i do serca trafiać, aby ono było prawdziwem kochaniem.

Ale i to trzeba jesce wiedzieć, że jak do kochania nie wystarcy jedna osoba, choćby miała dwa metry na wysokość, a łokieć na syrokość, tak nie może ich być więcej, jak dwie. Niech one nie będą wielkie, ale niechby były maleńkie, filigranowe i leciuchne, jakby pajęcyna, ale musą być ino dwie. Broń Boże, trzecia. Jak już ta trzecia pomiędzy tych dwoje wlizie, to zasłania sobą to, co tamtych dwoje chciało u siebie widzieć i na nic taka robota. Kochania nie można rozdzielać na osiemnaście kawałków. Nie można odrazu kochać i Kaśki i Baśki i Maryśki i Stefki. Niechby to była nawet Prakseda, ale musi być jedna i jedyna umiłowana i nad wszyćkie wybabrana!

Niktórem się zdaje, że kochanie to można albo siłą zdobyć, albo za pieniądze kupić. Baj baju, a będzies w raju. Kochanie to ono się samo rodzi, nie wiadomo skąd i kiedy, naco i poco. Mnie się widzi, że robi się to tak: Najpierw w sercu robi się taka maleńka krupecka, jakby pluskiewka, która wgryza się w nie i zacyna je tocyć. A że cłek swojego serca nie widzi, to nie wie, co się tam dzieje, a tam cosik jest i to serce coraz bardziej roztaca. A jak się cłek spostrzeże, to już amen. Cała serce zgryzła taka wielga miłosna rana, że nawet najlepsem rumiankiem jej nie ulecys. I to kochanie, które w sercu cłeka się rozrośnie, ma taką moc w sobie, że promieniuje z siebie, a promienie te otacają całego drugiego cłowieka, przepełniają go tem, co tamto pirse serce myśli i cuje, póki go tak nie omotają, że cłowiek ten sam nie wie, co robi, i upodabnia się do tego pirsego i tak z dwojga ludzi staje się jeden cłowiek, jedno serce, jedna dusa, choć się wydaje, że to jest dwa ciała, które śtyry nogi po tem świecie nosą. Kochanie z kochania się rodzi i kochaniem żyje.



Wiatr.

Drzewa pożółkłe tak żałośnie
Szumią, a liście, ronią, ronią...
Krople już deszczu na tej sośnie,
A echa smutku — dzwonią, dzwonią...
A gdy popatrzę w siną dal,
Tak mi jest smutno, tak mi żal.

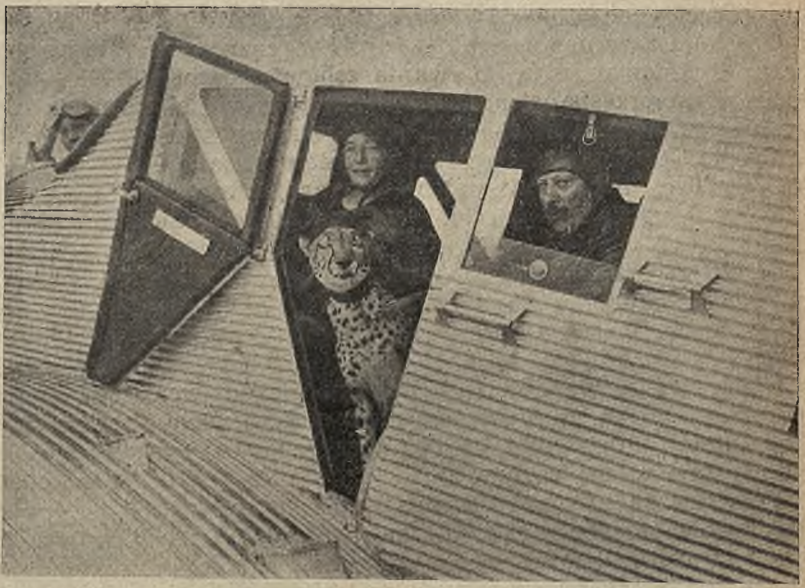
A gdzieś na role i ścierniska
Sine się dymy wloką w dali,
A ponad bory — topieliska
Wiatr wieje cicho, — tak się żali...
A gdy popatrzę w siną dal,
Tak mi jest smutno, tak mi żal.

Niekiedy wodą trąci zcicha,
To znów przepada hen w oddali,
To znów zaszumi, to znów wzdycha
I płacze w liściach, tak się żali...
A gdy popatrzę w siną dali
Tak mi jest smutno, tak mi żal,

Wyszumi wszystko, co już było,
Wyszumi smutek — radość lata,
Odnajdzie w duszy, co się skryło
I znów po polach cicho lata...
A gdy popatrzę w siną dal,
Tak mi jest smutno, tak mi żal.

Wincenty Kuglin.

TYGRYS W SAMOLOCIE.



Jeszcze to nie tak dawne czasy i starsi ludzie dobrze je pamiętają, kiedy samoloty były na świecie zupełnie nieznane. Puszczali się wprawdzie niektórzy śmiałkowie w przestworza powietrzne, ale byli oni zdani na łaskę wiatru i lecieli tam, gdzie temu wiatrowi zanieść ich się podobało. Śmiałkowie ci wzlatywali w powietrze na balonach.

A cóż to były te balony? Oto wielki wór, sporządzony z materji, nieprzepuszczającej żadnego gazu. Wór ten napompowywano lekkim gazem, umocowywano pod nim łódkę napełnioną workami z piaskiem i puszczano w powietrze. Na łódce takiej umieszczał się jakiś śmiałek i tak szybował w powietrze. Z czasem gaz oziębiał się i stawał się wskutek tego coraz cięższym, a przez to samo balon opadał ku ziemi, ale często w takiem miejscu, w którem lotnik nie chciał lądować, uważając je za niebezpieczne. Wówczas podróżny wysypywał z worów piasek i znów wznosił się ku górze. Ale wkońcu musiało piasku braknąć, a przez to i podróżny zmuszony był wylądować, no i oczywiście nie tam, gdzie chciał, ale tam, dokąd go wiatr zaniósł.

Długi czas ludzie przemyśliwali nad tem, w jaki sposób możnaby balonami kierować, ale pomimo największych wysiłków sztuka ta się im nie udała. Balonem kierować się nie dało. Próby ludzkie nie poszły jednak na marne. Wprawdzie do kierowania balonami nie doszli, ale przez ciągłe usiłowania wpadli na pomysł nowy i poczęli wyrabiać samoloty, na których początkowo wielu śmiałków śmierć poniosło, ale które wkońcu dały się usidlić i są dziś posłuszne niemal, jak małe dzieci. Dziś lotnik na samolocie leci dokąd chce, a w ostatnich czasach lotnictwo tak bardzo się rozwinęło, że śmiałkowie zapuszczają się nawet ponad morze, przelatując z Ameryki do Europy.

Samolot jest już obecnie jednym z środków podróży i dla zwykłych śmiertelników. Każdy z nas za niewielkie pieniądze może przelatywać w powietrzu setki kilometrów niczem ptak skrzydlaty, szybując ponad wsi i miasta, ponad lasy i góry, jeziora i rzeki.

Niektórzy biorą sobie nawet towarzyszy, a więc psy, koty i inne zwierzęta, a nawet, jak to widzimy na naszym obrazku, jakaś pani wybrała się w podróż napowietrzną w towarzystwie oswojonego tygrysa.

Środek na ból zębów.

(Humoreska z węgierskiego).

Wybiła godzina 12 w nocy, gdy nagle zbudził mnie silny ból zęba.

W pierwszej chwili miałem uczucie, jak gdyby mnie kto kłuł szpilką w dziąsło, następnie czułem świdrowanie w szczękach, wreszcie ból począł wędrować z jednego miejsca na drugie, przenosząc się od szczęki na całą twarz, do oczu, aż dotarł do czaszki, którą chciał rozsadzić.

A była noc i znikąd pomocy.

Nie ulżyło mi płukanie zimną wodą. Ból na chwilę ustawał, ale niebawem wracał jeszcze silniejszy.

Słyszałem, że czasami pomaga palenie. Zapaliłem więc cygaro i począłem dymić jak lokomotywa pociągu towarowego, wspinającego się pod górę. Od tego palenia napadły mnie mdłości.

Płukanie rumem też nie pomogło, bo zamiast płukać, połykałem smaczny płyn, od czego nabawiłem się kurczu żołądka.

Słowem, była to noc arcynieprzyjemna; Silvio Pelico zapewne miewał rozkoszniejsze w celi swego więzienia.

Nareszcie zaświtał ranek.

Należało radzić, gdyż kłucie, świdrowanie i palenie w szczękach stawało się nie do zniesienia.

Żona radziła udać się do dentysty.

— Nie, do dentysty nie pójdę! — odparłem. — Najlepiej rwą zęby felczerzy; zajdę do tego z przeciwka, który uwolni mnie od przeklętego bólu.

W razurze, o wczesnej, rannej godzinie był tylko chłopiec, zajęty porządkowaniem sklepu.

— Gdzie pan? — spytałem?

— Na „Cnotliwej Zuzannie" — odpowiedział młody adept felczerski.

— Co ty pleciesz?

— Naprawdę! Pryncypał jest w teatrze; bywa na każdem przedstawieniu „Cnotliwej Zuzanny".

— Ależ przecież „Cnotliwą Zuzannę" grano wczoraj wieczorem!

— No tak, ale mój pryncypał, gdy idzie wieczorem do teatru, powraca zazwyczaj dopiero rano do domu.

— Już wpół do ósmej.

— Za pięć minut przyjdzie niezawodnie.

— Napewno?

— Może pan być pewny, mój pryncypał jest bardzo punktualny.

Istotnie po upływie pięciu minut zjawił się wielbiciel „Cnotliwej Zuzanny“, słynący w całej dzielnicy ze sprawnej ręki przy wyrywaniu zębów.

Ale czy ta ręka nie zawiedzie po przedstawieniu, które przeciągnęło się od wieczora do rana?...

Opanowała mnie trwoga... A nuż ten zazwyczaj zręczny i ceniony mistrz do rwania zębów w oszołomieniu po nieprzespanej nocy omyli się i wyrwie mi zdrowego zęba zamiast chorego, a może nawet wyrwie język... Dreszcz przeszedł mi po całem ciele...

— Proszę, niech pan siada — zwracając się do mnie, rzekł uprzejmie felczer. — Czem mogę panu służyć?...

Gdy wymawiał te słowa, wzrok jego był tak zamglony, poruszenie tak chwiejne...

— Ja, ja... — wyjąkałem — chciałem ostrzyc włosy...

Niebawem nożyce zabłysły w ręku niegodziwca i po upływie kilku minut piękne moje ciemne włosy, ozdoba głowy, chluba mojej żony, stoczyły się na niezbyt czystą podłogę razury.

Pomimo, że ząb ani na chwilę nie przestawał boleć, uśmiechałem się radośnie na myśl, że tak zręcznie udało mi się wyprowadzić felczera w pole.

Ale, gdym wyszedł z razury, ostrzyżony jak pudel w lipcu, a ból zęba nie ustawał, począłem gniewać się na samego siebie za tchórzostwo, które mnie owładnęło.

Przechadzka po świeżem powietrzu nie ulżyła mojej katuszy.

Na odległej ulicy zauważyłem nad sklepem felczerskim napis: „Tu wyrywają się zęby bez najmniejszego bólu!“ Wziąłem to za znak przeznaczenia i wszedłem do razury.

— Dzień dobry panu, proszę spocząć. Za chwilę będę do usług.

Figaro właśnie miał w robocie pewnego jegomościa, któremu wyrwał ząb, a jak wyrywał! Cztery, pięć razy zakładał obcęgi, przyciskał ofiarę kolanami, pocił się jak w łaźni parowej, a pacjent krzyczał w niebogłosy i jęczał...

Aż nareszcie w obcęgach, podniesionych nad głową nieszczęsnej ofiary ukazał się olbrzymi ząb trzonowy.

— Napracowałem się nielada — zawołał w tryumfie, ciężko oddychając felczer. — Ale nie bolało, nieprawdaż, panie?

— Oj, strasznie bolało — jęczał pacjent — i zdaje mi się, że wyrwał mi pan zdrowego zęba.

— Zdrowy ząb? Powiadasz pan — rzekł obojętnie felczer — być może! Ale to nic nie szkodzi, wypłucz pan dobrze usta, a zabierzemy się zaraz do tego bolącego...

To rzekłszy, zwrócił się do mnie.

— Czem mogę panu służyć?

Niema co upiększać położenia.

Są niewątpliwie i obecnie bohaterowie, którzy w takim wypadku byliby nieustraszeni. Mucius Scaevola zawołałby w podobnych okolicznościach donośnym głosem:

— Figaro! wyrwij mi trzeci ząb na prawo w dolnej szczęce!

Ale ja nie jestem Rzymianinem, nie jestem Scaevolą, więc zawołałem:

— Proszę zgolić mi brodę!

W pięć minut potem nie miałem już brody. Najpiękniejsza moja ozdoba, duma mojej żony, padła pod nożycami felczera, a ząb tkwił w szczęce i dokuczał jeszcze dotkliwiej.

Wróciłem do domu. Drzwi mieszkania otworzyła mi żona.

— Czego pan sobie życzy? — zapytała szorstko.

— Heluniu!...

Spojrzała na mnie badawczo i po chwili, załamawszy ręce, zawołała:

— Wielki Boże! co się z tobą stało? Gdzie twoja broda! twoje włosy!

— U fryzjera.

— A ząb?

— Ząb... ząb... jeszcze w ustach. Ból wprawdzie nie ustał, ale nie miałem odwagi dać sobie rwać nieumiejętnemu felczerowi.

Żona spojrzała na mnie pogardliwie i rzekła:

— Ty mężczyzno!...

Słowa te w czasach rozwoju feminizmu mogły być uważane za obrazę, ale gdy człowiekowi dokucza szalony ból zęba — staje się niewrażliwym na wszelką niesprawiedliwość.

— Więc idź do dentysty! — powiedziała ironicznie żona.

— Daj mi spokój z dentystami, znam ich dostatecznie ze słyszenia... dostaną chyba mego trupa!... Wogóle... Zdaje mi się... W istocie ból jakoś ustaje. Być może, bogom wystarcza już ofiara, uczyniona z moich włosów i brody i zlitują się nademną.

Niebawem jednak ból zjawił się jeszcze dotkliwszy.

— Spróbuj chloroformu! — zawołała gniewnie żona. — Flaszeczka stoi tam na prawo, w oszklonej szafie.

Wziąłem flaszeczkę z uśmierzającym ból płynem, nalałem kilkanaście kropel na watę i począłem pocierać twarz. Już po kilku sekundach zdawało mi się, iż ból złagodniał. Po upływie pół godziny ponowiłem smarowanie i tak długo nacierałem twarz, dopóki nie wysączyłem ostatniej kropli.

Ból ustał zupełnie.

Zęby znajdowały się w ustach na zwykłem miejscu, nie kłując i nie świdrując.

Tymczasem nadszedł wieczór, a ponieważ byłem bardzo zmęczony całodziennym bólem, położyłem się do łóżka i zaraz mocno usnąłem.

Przespałem spokojnie do rana.

Odświeżony, z wesołą twarzą, wszedłem do jadalnego pokoju na śniadanie, gdzie już przy stole siedziała moja żona.

Ujrzawszy mnie, zapytała:

— Czy nie wiesz, gdzie są krople do oczu, których używa Stasia? Wczoraj jeszcze były w oszklonej szafie.

Jeśli tam były wczoraj, to muszą być i dzisiaj, ja ich nie brałem.

— To dziwne — krople chloroformowe są, a tamtych niema, gdzież się więc podziały?

Dochodzę do szafy i w istocie flaszeczka z chloroformem stoi nienaruszona.

— A krople do oczu? — pytam i biegnę do sypialni.

Tam na nocnym stoliku znajduję pustą flaszeczkę od lekarstwa na oczy.

Rzecz się wyjaśniła.

Zęby wyleczyłem kroplami do oczu!

Ale co mnie to może obchodzić, pomogło — więc dobrze!

Nie interesują mnie również tajemnicze wytwory chemji medycznej... Być może, iż krople chloroformowe nie byłyby skuteczne? Chi lo so?

A gdyby kiedykolwiek, co nie daj Boże, znów mnie zęby rozbolały — udam się zaraz do... okulisty!

Armin Ronai.

WŁADYSŁAW WOSNAK.

UCIECZKA ARCHANIOŁA

Powieść współczesna.

VII.

Ludzie, idąc na jarmark i spoglądając na czerwony komin, wznoszący się nad blaszanym dachem nowego domu, często obrabiali sprawę Tomka.

— Co niełładnie, to niełładnie... Dziadka z ojcowizny wyganiać — to przecie grzech ciężki.

— Do którejż córki poszedł Jędrzej?

— Do Hanki, mówią...

— Źle to już, oj źle, jak dla starego miejsca w domu brakuje... A nie słyszeliście: pono Franek też poszedł?

— Co? i jego by wygnała ta „suczyca"?

— Przy takim człowieku trudno byle komu wytrzymać: trza mieć mocno grubą skórę... Szkoda dziecek. Niepotrzebnie zachciało się czegoś Tomkowi, bo do roboty miał ludzi dosyć. Córka dorosła...



Tyś ich tu wepchnęła w tę wodę.

— Gdzie też Franek teraz?

— Ludzie go chcieli nająć, bo wszyscy wiedzą, że do roboty dobry, a nie wymaga wiele, ale on nigdzie daleko iść nie chciał, tylko został u drugiej jędzy — Tereski z „pod miedzy".

— Tam poszedł? a dyć tam ani djabeł nie wytrzyma.

— Cóż miał robić... Choć wie, że mu się za kark poleje, lecz chce być blisko miejsca, gdzie tyle czasu przeżył; na dziecka teżby czasem chciał spojrzeć...

— Gdzieindziej pewnieby ani żyć nie umiał; tu się przyzwyczaił.

— Bieda z nim: na starość będą nim obcy pomiatać, kiej mu się na starych śmieciach patrzyło umrzeć.

— Sześćdziesiątkę już chyba będzie miał...

— O będzie; może nawet z okładem.

— I naco mu to przyszło...

— Ano — wygnali jak psa. Interes raz dwa załatwiony. Ale to nie Tomka robota, nie; onby się na to nie odważył.

— Niema go co uniewinniać, bo jednako winien; gdyby był chłopem jak się patrzy, nie dałby babie wojować nad sobą.

— Trza jednak przyznać, że z niej śpekulant: opróżniła dom z tych, którzy ją dozierali, aby teraz wojować na swoją stronę i wynosić do swej córki co się tylko da. Jeśli jej Tomek rogów nie zbije, tak te dziecka będą pokrzywdzone na nic.

Tak było do jesieni. Niby żadnej zmiany. Ludzie szli, ciągnąc za sobą własne kłopoty i troski — coraz rzadziej wspominając o Jędrzeju czy Franku. Dosyć swojej biedy, żeby jeszcze cudzą kłaść na barki? Zwolna ucichało się o wypadkach, zaszłych w osiedlu Tomka.

Aż jednego, spłakanego deszczem dnia nadeszła wiadomość, że dziadek Jędrzej umarł. Tomek był djablo zły: dziadek umrzeć mógł, ale nie w obcej wsi i parafji. Co teraz ludzie powiedzą? Że też tak trafiło... Tomek wciąż liczył się z tem, że dziadkowi sprzykrzy się obcy dom, choćby to był nawet własnej córki, i wróci na dawne miejsce. Pragnął tego nie tyle dla zaspokojenia własnych przekonań, ile dla oka ludzkiego. Dziadek był ustępą — to prawda — ale liczył blisko osiemdziesiątkę, to także trzeba brać w rachubę. Ale... stało się. Zupełnie nie po jego myśli. Nawet Hanka nie powiadomiła; przez obcych przyszła wiadomość prawie przypadkowo. Tem ostentacyjnie lekceważącem milczeniem Hanka zirytowała Tomka więcej niż zabraniem dziadka do siebie.

— Co ona sobie myśli?... Poniewieraliście nim, więc teraz nie potrzebujecie wiedzieć o jego śmierci — co? tak kombinuje? Pewnie chce, abyśmy nie poszli na pogrzeb... Niedoczekanie jej. Szkoda, że się nie da sprowadzić ciała do własnej parafji i na swojskim cmentarzu pochować... Znów się ludziom języki rozluźnią na jakiś czas... Z drugiej strony: nareszcie przybędzie „część" dziadkowego pola. Wielki czas. Ale też nic na świecie nie obejdzie się bez kłopotu, to dziwne.

Na pogrzeb zeszło się całe krewieństwo. Hanka była dumna, że to jej właśnie przypadł w udziale ten cały obrzęd — oddanie ostatniej przysługi ojcu. Niech widzi cały świat, że jeszcze nie wszyscy ludzie są wyrodnialcami, nie wszyscy bez serca i duszy: bowiem jest sobie, no... choćby tylko Hankę wspomnieć.

Rodzina Tomka przyszła na ostatni moment, przed samem rozpoczęciem nabożeństwa. Wkoło katafalku już płonął rząd nierównych świec, a ksiądz w czarnym, wytartym mocno ornacie przystąpił do ołtarza. W organie mieszały się różne tony: grobowy smutek martwoty wpadał w najweselsze akordy, jak i naodwrót. Widocznie wioskowy organista zdawał sobie sprawę i czynił to z rozwagą, chcąc prawdopodobnie uplastycznić zebranym, iż łańcuch życia z takich właśnie ogniw się składa.

Wreszcie skończyły się modły i żałobne pienia; smuga dymu kadzidlanego uniosła się z nad trumny pod strop kościoła, jak gdyby nie chciała mieć nic wspólnego ze śmiercią. Czterech chłopów wzięło na barki białą, niemalowaną trumnę, aby zanieść na pobliski cmentarz. Nad głowami gromadki ludzi zaszeleściała czarna chorągiew z krzyżem i trupią głową. Wszystko miało przypominać śmierć, nawet słonko, które wydrapawszy się z wilgoci dżdżystych, jesiennych chmur, zajaśniało mdłym blaskiem konania i posępnej rezygnacji.

Stanęli nad grobem. Najbliżsi spojrzeli po sobie bezradnie: dół niemal do połowy zalany był wodą. Parafjanie dziwili się, bowiem znali właściwości swego cmentarza, lecz na obcych zrobiło to przykre wrażenie.

Po odśpiewaniu Requiem, ksiądz rzucił grudkę ziemi na trumnę i odszedł, zostawiając ludzi ze śpiewem: Witaj Królowo Nieba. Grabarz zaczął wylewać wodę, lecz widząc bezcelowość pracy, zaprzestał daremnego trudu. Potem jął podkładać sznury pod trum-

nę, mrugając na chłopów, aby któryś chwycił za końce i pomógł spuścić w dół. Zbliżyło się zaraz trzech. Wtem nagle coś ich odepchnęło, że o mało jeden z nich nie wpadł do otwartego, a — co gorsze — wodą napełnionego grobu. Na trumnę rzuciła się Kaśka, jedna z córek zmarłego, druga po zmarłej Margośce.

— Tato, mój tato!... naco wam to przyszło?... Tato!

Rzucała się po trumnie, krzycząc i bijąc głową o wieko. Nie dziwiono się temu wcale, bowiem cała rodzina znała Kaśkę jako taką, która ma najsłabszą głowę.

— Co wyście zrobili?... naco i poco?... — rzucała bezładne wyrazy, leżąc na trumnie. Jej chłop chciał ją ściągnąć, ale uczepiła się tak silnie, że zdawało się, iż wieko oderwie.

— Kaśka! zwarjowałaś, czy co?

Ona na wszystkie takie upomnienia zdawała się być zupełnie głuchą.

— Tato, tato! na co wam przyszło... Na obcym cmentarzu leżeć musicie, jakby wam swojego brakło... Ja was nie puszczę, nie dam wrzucić do tej wody. Tu jest cmentarz dla topielców, a nie dla was. Wyście mieli dosyć wody przez całe życie, jak wam się lała po karku od zabiegów i roboty. Dosyć! Jeszcze was po śmierci mają kąpać? Jezu, Jezu! naco wam to przyszło... naco wam to przyszło...

Podniosła nieco głowę i spojrzała po gromadzie. Długo szukała wzrokiem, zanim nie spostrzegła baby Tomkowej, klęczącej z boku, z głową pochyloną, z chustką spuszczoną na czoło.

Kaśkę porwał jakiś spazm; wszystkie uczucia zakłębiły się w jej wnętrzu. Chciała je wyrzucić, ale tylko ręce jej się zatrzęsły i oczy poczęły błyszczeć nienaturalnem szkliwem. Przemogła się wreszcie. Uklękła obok trumny i wskazując ręką w stronę klęczącej, wyszlochała słowami:

— Tyś ich tu wepchała — tu, w tę wodę, ty! Przez ciebie nie będą leżeć na swoim cmentarzu, na suchej ziemi, przy Margośce, przez ciebie! Psa się do wody nie rzuca, tylko się zakopie, a tyś człowieka, i to umarłego, zatopiła! Gdzieś ty podziała Boga ze serca?

Zaczęła powtarzać zdania, mieszać wyrazy, plątać się w myślach i słowach. Widać było, że osłabła. Chłopi wzięli ją pod pachy przemocą i odsunęli na bok. Zerwała się jeszcze, przyskoczyła do grobu, nabrała garść wody i chlusnęła na klęczącą babę Tomka.

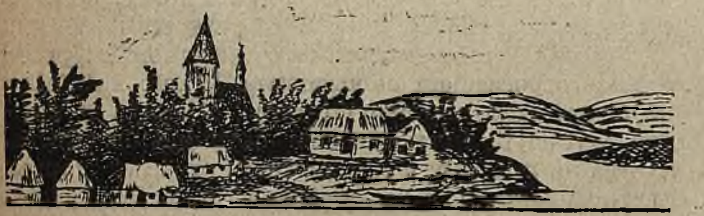
— Naści! Spróbujże tej wody, w której nam ojca utopiłaś!... Naści! Pokrop se nią izbę, powymiataj wszystkie śmieci, aby ci już nikt, ani żaden sprzęt, więcej nie zawadzał.

Powstało zamieszanie. Kobiety obstąpiły Kaśkę i wzięły ją pod swoją opiekę, perswadując i prowadząc do furty cmentarnej. Tomkowa gdzieś znikła niespostrzeżenie, bo jej nie było ani przy Tomku, ani przy dzieciach.

Grabarz tymczasem wyciągnął sznury z pod trumny, która właśnie znikła w mętnej wodzie, i zaczął szybko zasypywać grób. W miarę tej czynności woda podnosiła się coraz wyżej, aż zaczęła się wylewać i spływać po pochyłości cmentarza, niby potok łez, wyciśnięty niedolą ludzkiego życia — tego życia, co zostało spaczone przez samych właścicieli.

Załzawione mglistym porankiem słońce, zebrało rozprószoną moc, otrząsło się ze słabości, narzuconej zawistną dłonią nocy, i rozpiąwszy swe skrzydła błyszczące — pełną garścią zaczęło rzucać odrodcze pierwiastki istnienia: zapomnienie i miłość.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Czarownik i parobczak.

(Podanie ludowe).

Jak ze wszystkich dziewcząt, najdorodniejszą była kraśna Zośka, tak u parobczaków najsłuszniejszym był Janek. Nie dziw stąd, że pomiędzy obiema już było po zaręczynach.

Ale i złośliwy czarownik zwrócił swe oczy na kraśną Zośkę. Żeby się Janka pozbyć, poszedł do jego chaty, utkwił nowy nóż pod progiem i zaklął, aby parobczak przez siedem lat gnany wichrem, latał po powietrzu.

Parobczak właśnie na łące układał siano w snopki, kiedy się wicher zerwał, siano porozrzucał, a parobczaka pochwyciwszy, unosi w powietrze. Napróżno czepia się to płotu, to gałęzi drzew; nic nie pomaga, — pędzi w powietrzu niby gołąb dziki. Woła, nikt go nie słyszy, ani nie widzi; stopami ledwo o dach własnej chaty nie zawadził, ale leci gdzieś w świat daleko. Tak przez trzy miesiące kręcił się i wiercił po powietrzu. Od ciągłego płaczu łzy mu już wyschły, a od głodu i pragnienia wysechł jak kawałek drewna. Obleciał wiele, wiele świata, lecz najwięcej unosił go wicher nad wioską rodzinną, a mianowicie nad chatą, gdzie mieszkała Zośka.

Po trzech miesiącach unosi się Janek nad chatą, spojrzy na dół, a owoż jego Zośka idzie w pole. Wyciągnął ku nie ręce wychudłe, i zawołał na nią po imieniu. Ale to naprożno, głos mu z piersi już dawno zamarł; Zośka w górę nie spojrzała.

Ale nasz czarownik stał przed domem i patrzał złośliwie do góry.

— Będziesz tak przez siedem lat latał nad wioską — krzyknął głośno — nie będziesz nic jadł ani pił, a nie umrzesz!

— O mój ojcze! — zawołał teraz parobczak — com ci złego uczynił? Jeślim ci co złego zrobił, to przebacz; patrz, już wyglądam cały jak z drewna.

Tu czarownik coś poszeptał, a parobczak już nie leci, tylko stoi w miejscu, lecz się ziemi nie dotyka.

— Cóż mi dasz — rzekł — jeśli cię od tej kary uwolnię?

— Wszystko, co tylko żądasz — zawołał Janek, złożył ręce jak do modlitwy i uklęknął w powietrzu.

— Oddasz mi Zośkę — rzekł czarownik — gdyż się z nią żenić muszę, a za to sprowadzę cię na ziemię.

Janek zadrżał, ale pomyślał sobie, że skoro będzie na ziemi, to sprawa da się jakoś załatwić. Rzekł więc głośno:

— Kiedy już inaczej być nie może, niechże już tak będzie.

Wtedy czarownik znowu coś pomruczał, dmuchnął, a Janek stał na ziemi i poczuł, że wiatr nie ma już nad nim mocy. Co żywo pobiegł teraz do chaty i już w progu spotyka Zośkę. Przelękła się na jego widok i zakrzyknęła, bo wszyscy myśleli, że Janek już dawno nie żyje.

Janek odepchnął ją wyschłemi rękami, a wpadłszy do izby, zawołał do gospodarza:

— Ani już u was służyć nie będę, ani też ze Zośką ożenić się nie mogę, chociaż ją kocham, by własne oczy.

Gospodarz ze zdumieniem przypatrywał się Jankowi, który z dorodnego parobczaka stał się szkieletem, jakby z grobu powstał.

Zapytany Janek o powód, dlaczego żenić się z Zośką nie chce, opowiedział o swej napowietrznej podróży i o przyrzeczeniu danemu czarownikowi. Gospodarz namyśliwszy się kazał Jankowi być dobrej myśli, a sam wziąwszy sporo grosiwa udał się do wróżki. A kiedy wrócił nad wieczorem, rzekł:

— Jutro rano skoro zaświta, pójdziemy do wróżki, a wszystko będzie dobrze.

Nazajutrz przed świtaniem wstawszy, pobiegł do wróżki. Zastał ją przy kominie, jak paliła jakieś zioła. Nagle zawył straszliwy wicher, aż dom cały się zatrząsł. Wybiegł wtenczas z wróżką na podwórek, a podniósłszy oczy, ujrzał jak czarownik wysoko ponad domem kręcił się w jednej tylko koszuli.

— Już on ci teraz szkodzić nie będzie — rzekła — a jak będziesz chciał, aby patrzał na twoje wesele, zrób tak a tak.

Tu mu powiedziała, co i jak ma uczynić.

W miesiącu potem już było wesele. Kiedy weselnicy tańczyli, wybiegł Janek na podwórze, spojrzy w górę, aż oto czarownik kręci się nad chatą w powietrzu. Wtenczas dobył noża nowego, wymierzył, rzucił silnie i trafił go w stopę. Zleciał czarownik i stanął przed oknem przybity nożem do ziemi.

Nie pozostało mu nic więcej, jak stać przez noc całą i patrzeć na radość Janka, Zośki i weselnej drużyny.

Nazajutrz znikł czarownik z pod okna. Ludzie jednak widzieli przelatującego go nad jeziorem stamtąd o dwie mile odległem, a przed nim i za nim stado wron, kaczek i kruków.

Piosnka o mej wioseczce.



Hej, daleko stąd, daleko,
Poza siódmą górą, rzeką,
Stoją sobie wioski liche.
Wiodąc nędzne życie ciche.

Moja wioska bez słoneczka,
Jak dziewczę bez kochaneczka
Marnie sobie żywot wiedzie,

Chaty walą się z starości —
Kto te chaty powyprości?
Kiedy bieda, wielka bieda,
A grosza nikt darmo nie da.

Pojechały dziewki, chłopcy,
Za zarobkiem gdzieś w świat obcy,
Choć się w pracy tak krwawili,
Bez grosza w chaty wrócili.

Wioskę moją żale naszły
Chmury czarne nad nią zaszły,
A po nocach stąpa czarny
Głód bezlitosny, ofiarny.

Wioski drogie, czy wy życie
Takie same, prowadzicie,
Czy wam może jakoś lepiej
I głód wam oczu nie ślepi?

Bo w mej biednej szarej wiosce,
Każdy żyje w wielkiej trosce --
Śmierć przed każdym progiem staje
Nikt litości nie doznaje.

O, ty, wiosko w nędzy swojej
Kto twoje rany zagoi,
Kto cię zbawi i uleczy
W Polskiej Pospolitej Rzeczy?

Franciszek Lipiński.

Cierpiący Ibrahim i lekarze.

Pewien bogaty Egipcjanin, odziedziczywszy znaczny majątek po swoich przodkach, żył w zupełnem szczęściu wśród swojej rodziny. Gdy sprzedał ostatni zbiór bawełny i przywiózł do domu kilka tysięcy funtów w złocie, zobaczył, że jego skrzynia zupełnie złotem się zapełniła.

Ponieważ religja egipska zabrania dawania pieniędzy do kasy, lub pożyczania na procent, przeto zasmucił się Egipcjanin bardzo. Zwołał więc mędrców z całej wsi na naradę, aby ci wynaleźli sposób, co ma ze złotem robić.

Mędrcy po długich naradach postanowili, aby Ibrahim, tak się nazywał ów Egipcjanin, pojechał do wielkiego miasta Kairo i tam trochę nagromadzonych pieniędzy wydał. Ponieważ zaś zdrowie człowieka jest największem dobrem, przeto powinien pieniądze wydać na zdrowie.

Ibrahim choć zdrów zupełnie, posłuchał rady.



Najbliższym pociągiem udał się do Kairo i tam wyszukał dwunastu najsławniejszych lekarzy. Codziennie przez dni jedenaście wzywał do siebie jednego z lekarzy, zaś dnia dwunastego wezwał lekarza Polaka i tak odezwał się do niego: „Teraz godzina ósma — daję ci dwie godziny czasu, abyś mnie zbadał dokładnie i przepisał stosowne lekarstwo, a sowita nagroda cię nie minie“.

Na zwykłe zapytania lekarskie: „Co mu brakuje?“ „Gdzie go boli?“ i t. p. odpowiadał: „Od tego jesteś lekarzem, abyś chorobę wyszukał!“

Przez całe dwie godziny biedny lekarz badał Ibrahima, ale nie mógł odkryć żadnej choroby. Oznajmił to więc Egipcjanowi, kazał mu się ubrać i wracać do rodzinnej wioski. Ibrahim ubrał się coprędzej, a wręczając lekarzowi szkatułkę pełną złota, rzekł: „Ty jeden jesteś prawdziwym lekarzem, gdyż ty tylko poznałeś, że jestem zupełnie zdrów. Poprzednicy twoi wymyślali najrozmaitsze choroby, napisali kilkadziesiąt recept, która ja tu wobec ciebie w ogień rzucam“.

Ibrahim, powróciwszy do domu, przysłał jeszcze lekarzowi kilka owiec i cztery piękne strusie, z serdecznem pozdrowieniem dla niego.

Lekarz ów, opowiadając nam to zdarzenie, dodał, że prawdomówność zawsze najlepiej popłaca.

Rycina nasza przedstawia chwilę, gdy lekarz bada Ibrahima, a obok nich stoją Egipcjanie.



Czarownik i uczeń.

Bajka ludowa.

Szła uboga niewiasta przez bór ciemny, prowadząc małego synka za rękę. Idąc płakała, bo wiele miała dzieci, a nie mogła dać im sposobu do życia. Aż z pod dębu podnosi się człowiek, a widząc łzy rzewne biednej niewiasty, począł o przyczynę pytać. Gdy mu opowiedziała powód troski i zmartwienia, uspokoił ją ów człowiek, powiedział, że jest krawcem, a powiedział nieprawdę, bo był to wielki czarownik.

I wziął za rękę młode pacholę, poprowadził je do jaskini, przyrzekając matce, że za trzy lata już je wyzwoli. Odeszła uradowana niewiasta, a mały Jonek zaczął się uczyć sztuki czarnoksięskiej i wkrótce ów żaczek przeszedł swego nauczyciela. Gdy już koniec trzeciego lata nadchodził, wydostał się z jaskini i spotkał matkę na zielonej dąbrowie.

Uradowana, zapłakała z radości, widząc jak podrósł i zmężniał. — Moja matulu, trzeci rok za tydzień się skończy, trzeba żebyśta przyszli do czarownika i żądali, by mnie uwolnił. On wtedy pokaże wam stado gołębi, nasypie im grochu i każe wam, byśta pomiędzy nimi syna poznali.

— Ale nie będą to gołębie, ale wszystko młode chłopięta, które wziął na wychowanie. Wtedy matulu uważajta, który gołąbek nie będzie jadł grochu, ale skakał i bił z radością skrzydełkami, to będę ja.

Za tydzień matka poszła do czarodzieja i żądała oddania syna. Ten wziął miedzianą trąbę, zatrąbił na cztery strony świata, a zewsząd zleciało się mnóstwo gołębi. Nasypał im grochu, gdy wszystkie jadły skwapliwie, kazał jej trafić na syna. Niewiasta upatrzyła jednego, co nie jadł, jeno skakał a bił skrzydełkami z radością. Wskazała nań, a czarownik oddał jej syna.

Ojciec Jonka, szewc z rzemiosła, obdarzony liczną rodziną, żył w nędzy. Jonek świadom wszystkich sztuk czarodzieja, rzekł do ojca:

— Żebyśta w biedzie nie byli, ja się przedzierzgnę w wołu, krowę i owcę, zaprowadzicie mnie na targ, a z sprzedaży będzieta mieli pieniądze. Pamiętajcie jeno, byście mnie w konia nie zaklinali, ani uzdy i postronka, z któremi na kiermasz poprowadzita, nie sprzedawali, bo dla was zginie zarobek, a mnie złe spotka.

Szewc zaklął raz syna w wołu, drugi raz w krowę, trzeci raz w barana, i dobrze zawsze sprzedał, a z pieniędzy nową chatę wystawił i głodu nie miał. Wszakoż łakomy, pomimo przestrogi syna, zaklął go w konia i powiódł na jarmark. Czekał już tam czarownik, kupił konia i tyle zapłacił, że mu i uzdę sprzedał. Tak złapał w swoje sidła rozumnego Jonka, przyprowadził do swojej stajni, gdzie na łańcuchu trzymał, a głodził i bił srodze.

Stękał on biedny konik głosem bolesnym, aż służebnica czarownika ulitowała się nad nim. Wchodzi do stajni, a koń zmędzony zaczął rzewliwie płakać i opowiadać swoją niedolę.

Skruszył jej serce, odcięła łańcuch. Jonek zamienił się w dorodnego chłopca, podziękował dziewczynie, a obawiając się mistrza, wróblem wyleciał na dach i począł wesoło z radości świergotać.

Dostrzegł czarodziej ucieczkę Jonka i poznał go w postaci wróbla, zamienił się sam w czarną wronę, ścigając biedną ptaszynę. Uciekał co siły wróbelek, a wrona zażarta nie dawała mu spoczynku, aż wreszcie zmęczony upadł w królewskim ogrodzie, a tuż za nim zdyszana wrona z rozwartym dziobem. Jonek zrobił się myszym królikiem, a czarownik wróblem i dokoła jałowcowego krzaka pędził za nim.

Chodziła wonczas po ogrodzie królewna, a widząc tę walkę, pomyślała sobie: Mój Boże, jaka zajadłość pomiędzy tak małemi ptaszętami!

Jonek wyczerpawszy wszystkie siły życia, nie mogąc uniknąć zajadłego wróbla, zrobił się pięknym pierścieniem i wskoczył na palec królewnie.

Wróbel napróżno go szukał, ale domyślił się sztuki swego ucznia i postanowił go wszelkimi sposobami dostać w moc swoją. Królewna zaledwie do komnaty zamkowej weszła, zdziwiona patrzy na piękny pierścień, aż tu z pierścienia zrobił się dorodny Jonek, opowiedział jej swą niedolę i ostrzegł, że jutro przyjedzie czarownik, strojny jak książę, z licznym orszakiem dworzan, że będzie usilnie prosił o pokazanie pierścienia.

— Jakby go schwycił, już byłoby po mnie, ale jeżeli będzie mocno się napierał, rzuć go królewno o ziemię.

Jak powiedział, tak się stało. Nazajutrz z liczną drużyną strojnie przybranych dworzan zajechał czarownik pod nazwą księcia. Przyszedł on na pokoje, a zalecając się królewnie, prosił o pierścień. Ale królewna nie chciała mu tej ręki dać do pocałowania, na której był pierścień. Lecz kiedy zaczął nalegać, rzuciła go na ziemię. Aż z niego pełno w komnacie grochu; czarownik zatrąbił w miedzianą trąbę na cztery strony świata i zleciało się mnóstwo gołębi, które ten groch pożarły; ale jedno ziarnko wsunęło się w białą dłoń królewnej. Ta je rzuciła o ziemię i z ziarnka grochu pełno w komnacie maku.

Wtedy czarownik zatrąbił w miedzianą trąbę i zleciało się mnóstwo wróbli. By prędzej mak wyjadły, sam czarownik zamienił się we wróbla. Czekał tej chwili Jonek, zamienił się we wronę, zagryzł wróbla czarownika i ciało jego rozniósł po kawałku na wszystkie cztery strony świata, żeby się nigdy nie zrosło.

Królewna wzięła go sobie za męża. Wyprawiono sutą ucztę, tam jedli i pili. Byłem tam i ja. Aż po brodzie kapało, a w gębie nic nie pozostało.

Kto win najwięcej ma sam na sumieniu
Ten u bliźniego tylko zło znajduje
I w najzwyklejszem jego postąpieniu
Zbrodnię, potworność i brud upatruje.

Ant. St. B.



Poradnik gospodarczy.

Zbieranie owoców we właściwym czasie wpływa bardzo na ich jakość. Istnieją pewne zasady przy zbiorze owoców, których przezorny gospodarz lekceważyć nie może i z temi zasadami należy się zapoznać.

Owoce powinno się zrywać tylko dojrzałe, co poznajemy po tem, że za lekkiem skręceniem owocu, odrywa się szypułka czyli ogonek owocu od gałązki, zaś ziarnka są czarniawe. Doświadczenie robi się z owocem zdrowym a nie robacznym, gdyż ten znacznie wcześniej dojrzewa.

Owoce wcześnie zerwane nie dają się długo przechować, tracą na wartości i smaku, i łatwo się psują.

Ponieważ niedojrzałe owoce silnie trzymają się gałązek, te przy urywaniu obłamują się i niszczy się drzewka. Owoce obrywa się od dołu drzewka idące coraz wyżej. Obrywać należy rękami, nigdy przez wstrząsanie, gdyż wtedy owoc tłucze się i gnije. Obierać po obeschnięciu rosy w dni pogodne.

Po zerwaniu owoców układamy je delikatnie w koszu i przenosimy do piwnicy.

Ważną jest rzeczą, aby przy zbieraniu owoców nie kaleczyć drzewa, nie łamać gałązek nie wchodzić na drzewo z butem, gdyż kaleczymy drzewka.

Po zniesieniu do piwnicy, należy owoce rozgatunkować, według dojrzałości i wielkości.

Im owoc dorodniejszy, tem przedstawia większą wartość. Najgorsze, poślednie owoce zostawia się do domowego użytku.

Jabłka i gruszki zebrane pozostawiamy na odpowiedniem miejscu, uważając, aby jak najmniej dotykać, kładąc je uważnie, aby się nie obijały. Sortować można na trzy sorty, a mianowicie: najdorodniejsze bez skazy to pierwsza sorta, mniejsze, ale również zdrowe, druga sorta i gatunek pośledni, to sorta trzecia.

Wiśnie i czereśnie zbieramy z ogonkami uważając, aby owocu nie uszkodzić, gdyż owoc zraniony wypuszcza sok, przez co traci na wartości i nie daje się przechować, ale łatwo ulega zepsuciu.

Śliwki gdy są przeznaczone na sprzedaż lub do wysyłki, zbieramy uważnie, aby nie ścierać z nich barwy, gdyż owoc z barwą zyskuje na wyglądzie i łatwiej go sprzedać.

Śliwki na domowy użytek jak do suszenia i wyrobu powideł zostawiamy na drzewie, aby dobrze dojrzały i dopiero takie strącamy i przerabiamy na powidła lub suszymy.

Inne gatunki owoców dzielimy na odmiany letnie, jesienne i zimowe.

Odmiany letnie dojrzewają z początkiem sierpnia do pierwszej połowy września; odmiany te należy zrywać zaraz, gdy zaczynają dojrzewać, gdyż później mączeją i są niezdatne do sprzedaży.

Odmiany jesienne dojrzewają do połowy października. Później dojrzewają odmiany zimowe. Czas dojrzewania zależny jest także od pogody i może być w roku chłodnym i wilgotnym przesunięty prawie o dwa tygodnie.

Nie wszystkie odmiany dojrzewają na drzewie, ale zwłaszcza jabłka i gruszki zimowe dojrzewają w piwnicy; ważną jest rzeczą, aby takich odmian nie zrywać zawcześnie, gdyż w ostatnich dniach rosną najsilniej i bardzo zyskują na wyglądzie i wzroście. Tym odmianom pierwsze przymrozki zupełnie nie szkodzą.

Gdyby owoce zamarzły na drzewie, należy je zostawić aż odtają i dopiero wtenczas zerwać i złożyć do chłodnej piwnicy. Owocom tym zamarznięcie zupełnie nie szkodzi.

Gdyby zachodziła obawa większego i dłuższego mrozu, należy owoce takie zamarznięte złożyć do zimnej piwnicy, aby odtajały zupełnie i dopiero przenieść na stałe miejsce przechowania.

Owoce moreli i brzoskwiń zbieramy w stanie nie zupełnie dojrzałym i pakujemy do wysyłki.

Orzechy włoskie wtedy są dojrzałe, gdy łupa z nich zupełnie odpada. Orzechy strząsamy, obieramy z łupy i myjemy w wodzie ze sodą, aby nabrały pięknej jasnej barwy. Po wypłukaniu należy je dobrze wysuszyć, aby nie zapleśniały. Wrazie braku pogody należy zostawić je w miejscu dobrze przewiewnym aż do zupełnego wysuszenia.

Przestrzeganie tych zasad przy zbiorze owoców wpływa na dobre przechowanie owoców, tak zbierane owoce dają się dobrze przechowywać i dobrze spieniężyć.

Jan Matysik.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 13 wrzenia b. r.

Pszenica .	51·50—52·50	Słoma długa	7·00—7·50
Żyto . .	40·50—41 50	Ziemniaki stoł.	9·00—10·00
Owies . .	31·00—32·00	Koniczyna na-sienn. czer.	00·00—00·00
Jęczmień .	37·00—39·00		
Fasola biała	00·00—00·00	Mąka żytnia	64·00—64·50
Łubin żółty	00·00—00·00	Otręby żytnie	24·00—24·50
Groch zwyk.	00·00—00·00	Mąka pszen.	85·00—86·00
Siano słodk.	11·50—12·50	Otręby pszen.	22·00—23·50

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

KRONIKA.

Ochrona historycznego obrazu. Po wielu kościołach w Polsce znachodzą się obrazy malowane przez dawnych mistrzów malarstwa, nieocenionej wprost wartości. Do takich cennych zabytków sztuki malarskiej należy obraz w kościele parafjalnym w Rudawie koło Krakowa, malowany przed 600 laty na drzewie, przedstawiający motyw religijny. Obraz ten za przyczyną księdza dziekana, proboszcza tamtejszej parafji został odczyszczony i zabezpieczony.

Potworne ojcobójstwo. Z Tarnowa donoszą: Z końcem ubiegłego tygodnia na drodze, prowadzącej z Tuchowa do Karwodży, na mostku znaleziono trupa mężczyzny, którego głowa była tak strasznie rozbita, iż pozostała z niej zaledwie część tylnej czaszki. Posterunek policyjny w Tuchowie, w szczególności komendant posterunku Jakubów, wszczął dochodzenia, z których okazało się, że są to zwłoki gospodarza z Karwodży, Jana Boronia. Pod mostkiem, na którym znaleziono trupa, znajdowało się pokrwawione koło od wozu, przy pomocy którego dokonano ohydnego morderstwa. Ponieważ na ubraniu jednego ze synów zamordowanego znaleziono ślady krwi, przeto policja przyaresztowała dwóch synów Boronia. jako bardzo silnie podejrzanych o dokonanie potwornej zbrodni. Również zaaresztowano żonę zmarłego. Powodem ohydnej zbrodni ojcobójstwa miała być odmowa ze strony Boronia zapisania synom majątku.

Żywcem pogrzebani. Ze Stanisławowa donoszą: Odcięta od świata Worochta, z którą połączenie będzie możliwe za kilka miesięcy, dała znać przez specjalnego kurjera policyjnego o strasznym wypadku, jaki tam miał miejsce. Mianowicie skutkiem katastrofalnego oberwania chmury, z gór płynęło prawdziwe morze strumieni, pędząc przed sobą głazy i drzewa i demolując całe przestrzenie. O strasznej sile świadczy fakt, że prąd połamał nawet szyny kolejowe pod Worochtą. Taki wał głazów i drzewa spłynął z całym impetem na fabrykę olejków eterycznych i kosodrzewiny „Howerla“ w Worochcie na Maryszewskiej. Siła uderzenia była fatalna. Ściany legły w gruzach, całe urządzenie zostało na drobiazg połamane. W środku było w chwili katastrofy siedmiu ludzi. Wszyscy oni zostali przywaleni gruzami rozpadającej się fabryki i ponieśli śmierć żywcem pogrzebanych. Ekspedycja ratunkowa, jaka została natychmiast zorganizowana, z pomiędzy cegieł i belek wyciągnęła już tylko trupy.

Tragiczna śmierć dyrektora kopalni. W rzece Łukwi koło Rosólnej utonął onegdaj dyrektor kopalni „Majdan“, Edward Bacher. Krytycznego dnia jechał on wózkiem do Majdanu, wraz z fryzjerem z Bohorodczan, Schappem Berajem. Nagle załamał się most i obaj wpadli do rzeki. Obecni na brzegu usiłowali ratować tonących i rzucili im liny, jednakże prąd uniósł kloce i belki, które rozbiły głowy zmagającym się z żywiołem i rzuciły ich na dno. Wydobyto już tylko trupy.

Pretendent do tronu polskiego. Gazety szwedzkie donoszą: Pewien Szwed, który uważał się za potomka królów polskich pojechał do Warszawy, by studjować tam życie i naród. Napisał on referat i złożył wizytę ministrowi spraw wewnętrznych Składkowskiemu. Ministra wprawdzie nie zastał, ale złożył swój referat sekretarzowi ministra. Referat zaczynał się od słów: „My, Zygmunt IV. król polski“. Nowy pretendent chce zasiąść na tronie polskim i władzę swą dzielić z Piłsudskim i kardynałem Kakowskim. Minister Składkowski wrzucił referat do kosza.

Msze święte na dworcu kolejowym. Aby dać podróżnym sposobność wysłuchania mszy świętej w niedzielę i święta, wprowadzono w Monachium zwyczaj odprawiania mszy świętych w poczekalni dworca kolejowego. Msze te odprawiane są o godzinie wpół do 4 i wpół do 6 rano. Do mszy są rozdawane uczestnikom książeczki do nabożeństwa, które następnie po mszy są zabierane z powrotem. Msze te cieszą się wśród podróżujących liczną frekwencją.

Walka z szaleńcem w więzieniu. W więzieniu wiesbadeńskiem stoczyła straż więzienna dziką walkę z odbywającym tam karę mordercą Robertem Krämerem. Krämer od dłuższego czasu już zachowywał się niespokojnie, tak, że wiązano go na noc do łóżka. Onegdaj rano dozorca rozwiązał go, żeby więzień mógł się umyć i ubrać. Poczem wyszedł z celi, a po chwili wrócił z śniadaniem dla więźniów. Krämer zaczaił się za drzwiami celi i, kiedy dozorca wszedł, rzucił się na niego znienacka, wyrywając mu rewolwer służbowy. Dozorca zdążył ledwo uciec z życiem, zatrzaskując drzwi celi. Na wszczęty przez dozorcę alarm zjawiła się straż więzienna. Początkowo próbowano pertraktować z więźniem, gdy to nie dało rezultatów, zaczęto puszczać przez otwory do celi strumienie wody.



W pierwszym momencie, kiedy Krämer zawołał, że się poddaje, otworzono drzwi celi, ale wówczas szaleniec zaczął strzelać do straży. Ta odpowiedziała strzałami i Krämer padł trupem.

Surowe zarządzenie. Rada miasta Kehl (zachodnie Niemcy) niedawno wydała bardzo surowe zarządzenie, dotyczące młodzieży szkolnej. W myśl tego zarządzenia młodzież poniżej lat 16 nie będzie mogła ukazywać się na ulicach bez opieki starszych już po godzinie 9 wieczorem. Zimą młodzież ta będzie zmuszona zostawać w domu już po 7-mej wieczorem. Poza tem nie wolno młodzieży palić papierosów oraz chodzić do piwiarni czy na tańce. Przydałoby się i u nas podobne zarządzenie, a od niejednego złego uchroniłoby się naszą młodzież.

Opodatkowanie łysych. Ojcowie miasta Eisenach w Niemczech, nie wiedząc, jakim sposobem zasilić pustą kasę, uradzili nałożyć podatek na wszystkie fryzury z obciętymi włosami u kobiet. Uchwała ta wywołała łatwo zrozumiałe oburzenie wszystkich pań i panien z Eisenach, które zebrały się na wielki wiec. Tam uchwaliły, że skoro już gmina potrzebuje pieniędzy i nie widzi innego sposobu, jak wzbogacenia się na głowach swych obywateli, niema innego wyjścia, jak opodatkować wszystkich łysych, gdyż ci najmniej wydają na fryzjera. Uchwała zyskała aprobatę ojców miasta, mimo, iż wielu z nich padnie ofiarą tego postanowienia.

Uczta z duchami przodków. O zamku nadreńskim Schwabenlinden najdziwaczniejsze krążyły w okolicy legendy. Ile było w tem prawdy, nikt nie wie, dość,

że okoliczni mieszkańcy opowiadali o krzykach w zamku porą nocną oraz o rycerzach zakutych w żelazo, błądzących po salach. Dr Hoeft, lekarz z sąsiedniego miasteczka zainteresował się temi opowiadaniami i pewnego razu dostał się podstępem do zamczyska. Przeszedł przez cały szereg pustych pokoji i dopiero w ogromnej sali spotkał starego sługę, który od 50 lat był burgrabią zamku. Ale to, co zobaczył lekarz, było iście niesamowite.

Przy długim, starannie nakrytym stole stały poustawiane krzesła, na których leżały portrety zdjęte ze ścian, a przedstawiające dawno zmarłych właścicieli zamku. A wokoło stołu krążył stary burgrabia, podawał półmiski portretom i nalewał wino do kieliszków. Lekarz przez nieuwagę potrącił krzesło. Stary burgrabia, poznawszy lekarza, zaprosił go, aby usiadł i rzekł:

— Proszę się niczemu nie dziwić. To, co dziś widzi pan, urządzam co rok. Są to bowiem urodziny mojego pana. Całe moje życie służę tej rodzinie i jestem do niej bardzo przywiązany. Dawniej, za dobrych czasów hucznie ochodzono to święto, ale od czasu, gdy pan umarł, nikt o nim nie pamięta.

Kto wypije więcej wody? W miejscowości Arta w północnych Włoszech zdarzył się bardzo przykry wypadek na tle zakładu; kto wypije więcej wody. Niejaki Rovere, który przyjechał do Arta na kurację, założył się z innym kuracjuszem, iż wypije więcej wody od niego. I rzeczywiście zakład ten wygrał, gdyż wlał w siebie sześćdziesiąt szklanek wody; co mu jednak z tego przyszło, skoro wkrótce poczuł się bardzo źle i umarł z powodu ataku sercowego.

Żyjący zegar. Niezwykłą zagadką dla lekarzy i fizjologów angielskich jest zegarmistrz B. Jenney, obdarzony zdumiewającą zdolnością ścisłego określania czasu o każdej porze dnia i nocy. Człowiek ten robi wrażenie poprostu żyjącego zegara, posiadającego zamiast wskazówek lub dzwonka, mechanizm mówiący. Podczas doświadczeń z nim czynionych, usiłowano wszelkiemi możliwemi sposobami rozerwać i odwrócić uwagę Jenneya od przedmiotu badań, za każdym jednak razem, spytany nagle o godzinę, odpowiada z dokładnością taką, że omyłka nie przekracza 45 sekund. Prowadzono go nawet do teatru na sztuki sensacyjne lub sadzano do stołu biesiadnego, nie szczędząc napojów alkoholowych. Nie zmieniało to jednak wyniku badań. Zdarzają się jednak dni wyjątkowe, w których ów „żyjący zegar" opóźnia się lub spieszy o całą minutę. Ale zdarza się to przecież każdemu zegarowi. Jenney objaśnia swój dar zdumiewający starannością, jakiej dokładał, aby powierzone mu zegarki chodziły jak najdokładniej, usiłował więc zawsze wiedzieć godzinę dokładną. Niektórzy wszakże przypuszczają, że jest telepatą, potrafiącym odczytywać godziny na posiadanym zegarku, nie zaglądając do niego, co jest bardzo prawdopodobne.

Dziwaczny testament miljonera. Lęk przed śmiercią pozorną, możliwością zostania pochowanym żywcem, właściwa jest bardzo wielu ludziom. Nigdzie jednak nie jest tak rozpowszechniona, jak w Anglji. Dowodem specjalna „Liga zwalczania śmierci pozornej", która obejmuje przeszło 20 tysięcy nazwisk, w tem są członkowie najróżniejszych warstw towarzyskich, od najwyższej arystokracji począwszy, a na prostych robotnikach kończąc. Nigdzie też nie pojawia się ciągle tyle wynalazków, mających na celu uniemożliwienie pomyłek z tego zakresu, jak właśnie w Anglji. Obecnie zajmuje się opinja publiczna w Anglji żywo testamentem bardzo bogatego fabrykanta Jamesa Motha, który zmarł w tych dniach w swej willi w Londynie. Otwarcie jego testamentu, jakiego dokonano w myśl jego ostatniego żądania w godzinę po jego śmierci, wzbudza w stolicy angielskiej powszechną sensację. Prócz ogólnych zaleceń o rozdziale pozostałych dóbr, zakładów i kapitałów, zawiera testament bardzo szczegółowe zarządzenia co do sposobu, w jaki mister James Moth chciałby być pochowany: „Do moich zwłok należy przywołać trzech lekarzy. Ci bowiem przy pomocy wszelkich środków, jakiemi rozporządza nauka, ustalić mają czy nie jestem pogrążony w letargu. O ileby im się udało udowodnić, że jeszcze nie umarłem i przywrócić mię do życia, otrzymają za swą czynność 10 tysięcy funtów angielskich. Dopiero wtenczas, gdy stwierdzą ponad wszelką wątpliwość, że nie żyję, wejdą w moc postanowienia mojego testamentu: Po pierwsze: chcę, żeby lekarze poddali me zwłoki działaniu kwasu pruskiego. Uważam to za konieczne, gdyż mimo wszelkich wysiłków lekarzy zawsze jeszcze mogłaby istnieć możliwość ich omyłki i pochowania mnie żywcem. Po drugie: Ten środek ostrożności nie wydaje mi się jeszcze — jakkolwiek ci, którzy ten testament czytają, mogą mnie uważać za warjata, — zupełnie pewny. Wobec tego stawiam pod adresem owych trzech lekarzy jeszcze jedno żądanie: Chcę, żeby zwłoki moje ścięli! Należy spełnienie tego żądania stwierdzić protokolarnie. O ileby moi spadkobiercy nie chcieli zastosować się dokładnie do tego testamentu, w takim razie unieważniam me postanowienia w sprawie podziału majątku, który przypada w zupełności państwu angielskiemu. Po trzecie: Po odjęciu głowy z moich zwłok należy zaszyć kadłub do worka i załadować na okręt wynajęty specjalnie. Parowiec opuści bez jakichkolwiek ceremonij żałobnych port w Londynie i na pełnem morzu w odległości conajmniej 50 kilometrów od wybrzeża załoga wyrzuci worek w morze. Moi spadkobiercy muszą wziąć udział w tym akcie, przebieg zaś jego skontrolować. Lekarze otrzymają za swe trudy po 100 funtów". — Nie ulega wątpliwości, że woli dziwaka stanie się zadość, tem więcej, że pozwalają na to olbrzymie sumy, jakie pozostały. Krewnym zresztą z pewnością będzie zależało na tem, żeby James Moth umarł naprawdę...

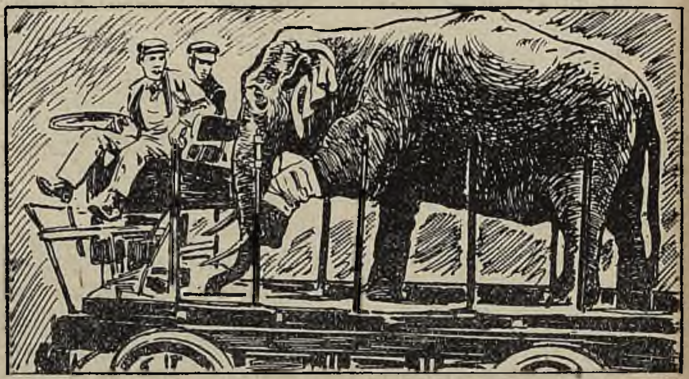
Walka ptactwa z burzą. Od kilku tygodni ciągną wielkie gromady ptactwa przelotnego ze Skandynawji na południe, ponad terytorjum Szlezwiku i Holsztynu. W tych dniach mieszkańcy tej prowincji byli świadkami ciekawego i wzruszającego widowiska: walki tego ptactwa z burzą, połączoną z gradem. Było to już nocą. Nad ziemią rozciągnęły się zwały chmur, a z pośród nich dolatywała wrzawa gwizdów, gęgania i krzyków żałosnych, a przy jaskrawem świetle błyskawic, okrywającem co chwila zwały chmur jasnością, ukazywały się ogromne stada dzikich kaczek, gęsi i innego ptactwa wodnego, walczącego rozpaczliwie z nawałnicą, w którą popadły. Każda błyskawica oświetlała tę walkę, a wśród przewalających się po niebiosach grzmotów rozlegały się coraz rozpaczliwiej głosy dziesiątków tysięcy ptaków. Skrzydlate stworzenia walczyły dzielnie. Wreszcie gromady ich rozprysły się, jak na komendę. Jedna z nich dosięgła granicy burzy, podążywszy na zachód, druga zaś wzbiła się ponad chmury, szukając tam widocznie bezpieczniejszej drogi.

Śmierć handlarza ludzkiem mięsem. Rosja sowiecka ma obecnie nielada sensację. Na dalekiej Syberji przypadkowo wykryto osobliwego rodzaju ludożerstwo, które polegało na masowem a systematycznem, w ciągu kilku dziesięcioleci, używaniu mięsa z trupów umyślnie w tym celu zamordowanych ludzi do jedzenia. Tę wstrząsającą zbrodnię wykryto w następujących okolicznościach. W pierwszej połowie zeszłego stulecia, a więc około 60 lat wstecz, sądy rosyjskie skazały pewneg-

ciężkiego zbrodniarza Domysiczenkę na dożywotnią katorgę. Oskarżono go o popełnienie mordów i innych ciężkich zbrodni, do których zresztą chętnie się przyznał. Domysiczenko liczył wówczas przeszło 30 lat. Na katordze Domysiczenko zachowywał się przyzwoicie, to też, po odbyciu długoterminowego więzienia i korzystając z różnych amnestyj, został z biegiem czasu przekazany do stanu t. zw. „posieleńców“, to jest wyzwolony z więzienia, musiał zamieszkać w wyznaczonem przez władze punkcie, bez prawa zmiany go z własnej woli. Domysiczenko osiedlił się w syberyjskiej odludnej tajdze północnej. Tu, celem wyżywienia się, Domysiczenko założył sobie traktjernię, którą odwiedzali przeważnie syberyjscy włóczęgy i inni przygodni goście. Sława tej traktjerni nagle rozeszła się w całej okolicy. Wszędzie mówili, że Domysiczenko potrafi poczęstować swych gości mięsem, przeważnie w postaci kotlecików, osobliwego smaku. Kotleciki Domysiczenki uzyskały rozgłos w północnej Syberji. Gdy się pytano go o tajemnice pochodzenia tej sztuki kulinarnej, zawsze odpowiadał, że tajemnice te zabierze z sobą do mogiły. Tak trwało przez dziesiątki lat przed wojną, w czasie wojny i po wojnie. Co prawda, wśród tubylców tajgi syberyjskiej niejednokrotnie przebąkiwano o zagadkowem zginięciu rozmaitych włóczęgów, lecz nikt nie zwracał na to osobliwej uwagi, a bynajmniej nie łączył tych zniknięć z osobliwym smakiem kotlecików, z traktjerni Domysiczenki. Dopiero obecnie ta tajemnica się wyjaśniła. — W ubiegłym miesiącu Domysiczenko umarł w 93 roku życia. Kilka dni po śmierci w traktjerni przypadkowo wykryto potajemną ubikację, w której znaleziono około 12 szkieletów ludzkich. Przy dalszych badaniach znaleziono kilka garnków i innych naczyń z mięsem ludzkiem, dość świeżego pochodzenia. Mięso to było solone i zakonserwowane do przechowywania. Wedle orzeczenia znawców, szkielety te pochodziły z trupów, ogołoconych z wszelkich części w ciągu kilku ostatnich lat, a mięso w naczyniach przygotowane zostało ledwie kilka dni przed śmiercią Domysiczenki. Wskazuje to, że swój zbrodniczy proceder Domysiczenko uprawiał aż do ostatnich dni swego życia, a ponieważ znakomite kotleciki „z osobliwego mięsa“ znane były jeszcze z końcem ubiegłego stulecia, to łatwo sobie wyobrazić, ile ofiar padło od zbrodniczej ręki ludożercy Domysiczenki. Władze czynią rozkopywania w rejonie traktjerni, w nadziei wykrycia zakopanych szkieletów z lat dawnych. W każdym razie dotychczasowe wyniki rewizji w tajnej ubikacji traktjerni świadczą ponad wszelką wątpliwość, iż ludożerstwo dla zaspokojenia smaku swych gości Domysiczenko uprawiał na wielką skalę.

Raj bez kobiet. Niedawno opuścił port w San Francisco, w Ameryce Północnej, luksusowy okręt amerykański Florcha, wiozący grupę tajemniczych pasażerów na wyspę Santa Maria. Pasażerami tymi było 9 mężczyzn, którzy złożyli sobie wzajemnie przysięgę, że będą żyli na wyspie bez kobiet. Przywódca wyprawy tej, kapitan August Cristonsen, oświadczył przedstawieielom prasy, iż przyjaciele jego powzięli tak dziwny zamiar dlatego, że przekonali się, iż wszędzie, gdzie są kobiety, panują wiecznie niesnaski i intrygi. Cały świat znajduje się dziś pod władzą fryzur chłopięcych i krótkich sukienek. Ludzie zaczynają się poważnie zastanawiać nad zagadnieniem, w jaki sposób zażegnać można niebezpieczeństwo opanowania rodu ludzkiego przez lekkomyślne białogłowy, a nie brak i takich, którzy za wszelką cenę chcieliby uciec na wyspę bezludną, by ukryć się przed prześladującemi ich kobietami. Do takich właśnie należą przyjaciele Christonsena, którzy udali się właśnie na wyspę Santa Marja. Wyspa ta posiada znakomity klimat, okolica jest tam prześliczna, ziemia bardzo urodzajna. Być więc może, iż oryginalnym tym rozbitkom życiowym uda się tam jako tako byt swój urządzić. Ale zresztą nie wiadomo, bo jeden z nich w ostatniej chwili zdążył już zmienić swą decyzję. Jeden z młodszych uczestników oryginalnej tej wyprawy spotkał mianowicie w przeddzień wyjazdu z San Francisco uroczą jakąś dziewicę, która gorącego tego wroga kobiet tak oczarowała, iż postanowił on zdradzić swych kolegów i pozostawać w jej bliskości.

Chory słoń. Niezwykły przedmiot wieziono niedawno samochodem w Ameryce Północnej. Do pewnego niewielkiego miasta przyjechał cyrk, z różnemi zwierzętami. Był też i słoń, stworzenie mądre a pilne, zatem pomagał swą ogromną siłą przy budowie cyrku: znosił deski, ciągnął ciężary i t. p. Przy takiej okazji skaleczył się mocno w lewą nogę i musiano ją obwiązać, aby rana się goiła i krew nie uchodziła.



Rana jednak zaczęła się jątrzyć i okazała się potrzeba zrobienia operacji. W niewielkim tym mieście weterynarza nie było, a słoń nie mógł chodzić. Zamówiono zatem wielki samochód do wożenia ciężarów, umieszczono na nim słonia i tak powieziono go do weterynarza w większem mieście, o kilka mil. Ludzie tłumnie po drodze przystawali, oglądając dziwny transport.

Proroczy sen. Wielka firma południowo-amerykańska nabyła pewną ilość koni wyścigowych w Anglji. Transport ten miał być odwieziony do Ameryki przez kilku dżokejów. Jeden z nich, Patrick Broderick, zgłosił się w przededniu wyjazdu do agenta i oświadczył, że zrzeka się wyjazdu i na okręt nie wsiądzie. Przyśniło mu się bowiem, że okręt, który miał go odwieźć do Ameryki, zatonął. Przesądny dżokej widział też we śnie swą zmarłą matkę, która zabroniła mu jechać okrętem. Wyśmiany przez agenta, Broderick, wrócił do domu — i tym razem przyśniło mu się, że spotkała go katastrofa kolejowa. Tego było dość. Broderick pozostał w Anglji. I nie bardzo się zdziwił, gdy po trzech tygodniach przeczytał, że w Kanadzie wykoleił się pociąg, wiozący 20 koni z Anglji. Dżokeje, którzy ten transport prowadzili, zostali zabici.

Dzielna lotniczka. Ostatnio głośną się stała znana lotniczka amerykańska, Rosjanka z pochodzenia, Luba Philipps, która zdobyła światowy, kobiecy rekord wysokości w locie pasażerskim. Dzielna pilotka wyruszyła z lotniska Roosevelt na aparacie pasażerskim, w którym znajdowało się 6 ludzi i w brawurowym locie zdołała wzbić się na wysokość 11.000 stóp czyli 6.285 metrów. Pani Philipps mimo, że ma dopiero lat 28, posiada już za sobą bogatą przeszłość lotniczą. Będąc córką zamożnych ludzi, miała możność nauczenia się pilotażu jako kilkunastoletnia panienka. Podczas wojny powierzono młodocianej pilotce przewożenia samolotem rannych.

RZECZY CIEKAWE.

Kobiety a mężczyźni.

Sądzi się ogólnie, że na świecie jest więcej kobiet, niż mężczyzn. Statystyka wykazuje jednak co innego. Stan taki istnieje tylko w Europie — gdzie na 1.000 mężczyzn przypada 1.024 kobiet. W innych częściach świata natomiast rzecz ma się odwrotnie. W Azji na 1.000 mężczyzn przypada 958 kobiet, w Ameryce 968, zaś w Australji tylko 82. Kobiety zato dłużej żyją od mężczyzn.

Adwentyści.

Podawaliśmy już w „Roli", jakie są sekty religijne w Polsce. Dziś podajemy bliższe szczegóły o sekcie Adwentystów.

W Warszawie urzęduje przywódca Adwentystów p. T. Will, który jest pewnego rodzaju, „biskupem" Adwentystów na terenie b. zaboru rosyjskiego. Teren ten, b. zaboru, w ostatnim czasie Adwentyści podzielili na dwie części: zachodnią, którą będzie zarządzał p. Liedtke z Poznania — i wschodnią, która pozostaje przy Wilu. Adwentystami w Małopolsce kieruje p. Cunitz, a w b. zaborze pruskim przejdą oni pod kierownictwo p. Izaka. Pozatem Adwentyści rozporządzają ogółem 35 duchownymi, zwanymi pastorami.

A wogóle co to są Adwentyści? Jest to sekta religijna, której zasadą jest wiara w rychły koniec świata, do czego więc, w myśl swych wierzeń, Adwentyści gorliwie się przygotowują. Ale są Adwentyści pierwszego i siódmego dnia. Różnica między nimi polega między innemi, na tem, że pierwsi święcą pierwszy dzień tygodnia, a drudzy — siódmy, stąd ich nazwa: Adwentyści dnia siódmego, i o nich to dzisiaj mówimy.

Jak wspomnieliśmy propagują oni wiarę w rychły koniec świata. Tłomaczą się przytem, że nie mają zamiaru ustalać kalendarzowego terminu owego końca świata, co, naszem zdaniem, jest tem gorzej, że przeważnie mniej oświecone warstwy ludności trzymają się przez to w strachu przez całe życie; bo gdyby zechcieli wyznaczyć jakiś termin, termin ten okazałby się zwykłą fikcją — owe warstwy, które idą teraz na wodzy Adwentystów przekonałyby się, że „nauka" ich nie jest wiele warta.

Przewidywanie rychłego końca świata tłomaczą Adwentyści tem, że czasy dzisiejsze obfitują w tyle niezwykłych wydarzeń, czy to w przyrodzie, czy... polityce, że to koniecznie musi oznaczać koniec świata.

Zwolenników Adwentystów w całej Polsce można liczyć na 2.500 osób, z których około 900 na terenie b. zaboru rosyjskiego: w Warszawie będzie ich ze stu; mają tu swój dom modlitwy przy ul. Senatorskiej 8, gdzie wogóle koncentruje się ich życie religijne. Dla takiej garstki wyznawców Adwentyści potrafili zbudować aż 8 domów modlitwy, oczywiście, że dzięki, zapewne poparciu swych współwyznawców z zagranicy. Zbudowali też domy we wsi Świniuchy (powiat baranowski, woj. wołyńskie), Pożarki (pow. łucki, woj. wołyńskie) i Adamówce (pow. wołyński, woj. wołyńskie); pozatem w Bielsku, Cieszynie i Wiśle — na Śląsku Cieszyńskim.

Adwentyści nie palą i nie piją alkoholu, chrzczą się w wieku dojrzałym, bo wtedy tylko chrzest u nich jest dozwolony, a więc dzieci i młodzież — to wszystko przez nich ignorowane.

Śmiertelność w krajach gorących i zimnych.

Dane statystyczne za szereg lat ubiegłych wykazują, że gdy w pasie południowym umiera jedna osoba na dwadzieścia pięć, w Europie południowej umiera jedna na 33.7, w Europie środkowej jedna na 40.5, w Europie północnej jedna na 41.1, w Rosji północnej jedna na 44, w Islandji jedna na 55, wreszcie w Szkocji jedna na 59.

Dla Francji cyfry śmiertelności wynoszą: jedna osoba na 39.09 na południu i 44.68 na północy.

Fakt znacznie większej śmiertelności w krajach gorących wynika stąd, że tam ciało ma znacznie mniejszą potrzebę ruchu i ćwiczeń, aniżeli w krajach umiarkowanych. Stąd wniosek, że brak ruchu i bezczynności źle wpływają na organizm, który w takich warunkach szybciej więdnie.

Nie należy jednak bezwzględnie polegać na cyfrach statystycznych, możliwą jest bowiem rzeczą, że te dane pochodzą z krajów, gdzie nietylko warunki klimatyczne, ile raczej higjeniczne, przyczyniają się w stosunku znacznie większym do zaniku czy wzrostu śmiertelności.

A przecie warunki higjeniczne odgrywają tutaj wielką rolę. Dość powiedzieć, że np. śmiertelność we Francji wynosiła w r. 1781 jedna osoba na 33, a w r. 1836, dzięki poprawie ogólnych warunków zdrowotnych, spadła do jedna na 43.

Zapatrywania na piękność rozmaitych ludów.

Pojęcie piękności jest urozmaitych narodów dość szczególne. Tak np. w oczach Arabów te kobiety uchodzą za piękne, które na skroniach i na policzkach mają szpecące je, jak na nasze pojęcia, nacięcia. W niektórych częściach Afryki kobiety malują paznokcie na żółto lub na czerwono. Starożytni Hunnowie mieli zwyczaj spłaszczania nosów niemowlęciom, by w ten sposób nadać im „piękny" wygląd. W Ameryce południowej matki używają najrozmaitszych sposobów w celu nadania łydkom dzieci nienormalnego kształtu, uchodzącego w ich oczach za piękny. W pojęciu Chińczyków szczytem piękności kobiecej są malutkie, zniekształcone nogi. Krajowcy w górnej części Nilu nigdy nie okazują uwielbienia kobiecie, dopóki niema wybitych czterech przednich zębów.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: Władysław **Stach** w D.: Nadesłany wierszyk ma duże zalety, ale i... wady. Nie można np. powiedzieć: „Odlatujesz pola nasze", gdyż mówi się: „Odlatujesz z pól naszych", ale jeżeli tak powiemy, to się już wierszyk popsuje. Zagadki zużytkujemy. Józef **Oleksy** w S. W.: Dziwi się Pan, że nas jakasik Kiełbasa w wiadomej gazetce napadła? My się nie dziwimy, gdyż wiemy, że nie była to korespondencja od czytelnika, ale stworzyła ją redakcyjna kiełbasa z zawiści, że im czytelników ubywa, a nam z każdym dniem przybywa. Za życzliwe słowa dzięki. Szymon **Tadanier:** Wierszyk zupełnie dobry. Jan **Skoczek** w D.: Każdy czytelnik może nadsyłać zagadki i inne utwory do druku, ale tylko własnego układu. **Stały Czytelnik** w K.: Szkoła na leśniczych jest w Dublanach i we Lwowie; trzeba jednak odbyć wprzód praktykę u jakiegoś leśniczego. Florjan **Ciebiera** w Rz.: Znamy ten sposób, ale przysparza on bardzo dużo pracy, na którą my nie mamy czasu. Władysław **Woźniak** w K.: Nie do druku. Jan **Węgiel** w C.: Utwór na konkurs otrzymaliśmy. Jan **Stec** w D.: Pisze Pan o miłości, ale z pisania jego widzimy, że Pan nie wie, co to miłość znaczy. Miłość to jest tak wielkie i święte uczucie, że sobie ponad nią nic większego na tym świecie wyobrazić nie można. Miłości nie można traktować lekko, bo to jest

zbrodnia. Kochając, trzeba się zaprzeć swojego ja, a wszystkie siły poświęcić dla osoby umiłowanej. Z miłością również igrać nie można. Rzadko kiedy miłość topnieje wolno; trwa ona i żyje, ale przychodzi chwila, że przepada na wieki i nic jej powrócić nie zdoła. Może pozostać szacunek, czasem i przyjaźń (choć to do rzadkości należy, a raczej jest złudzeniem), ale miłość jako taka nigdy nie powraca. Albo była i trwa nadal, albo znikła i nigdy już nie powróci. Karol **Miazga** w C.: Poeta to także człowiek; je on i pije , śpi i chodzi, jak każdy inny. Różni się tylko tem od innych ludzi, że ma duszę wrażliwszą, że ma serce czulsze, że myśli jego wznoszą się ponad poziomy i bujają w przestworzach. Poeta inaczej patrzy na świat i wszystko widzi inaczej od innych ludzi. Jeżeli zobaczy piękno, to widzi je w całych blaskach jego świetności, jeżeli coś ukocha, to przedmiot swej miłości nad poziomy wynosi. Piękno ceni, podziwia i kocha, a nie igra z niem i nie uważa go za zabawkę, służącą jedynie do zaspokojenia swoich zmysłów. Dlatego też poeci stoją na pograniczu ludzi i aniołów. Stanisław **Zioło** w S.: Nie może Pan jakoś zrozumieć rzeczy tak prostej, że Redakcja, to co innego, Administracja znowu co innego, a Drukarnia wreszcie zupełnie co innego. Zadaniem Redakcji jest ułożenie gazetki, a więc napisanie odpowiednich artykułów, poprawieniem i przygotowaniem nadesłanych do druku, postaraniem się o ilustracje itp. Administracja dba o to, aby każdy Czytelnik we właściwym czasie otrzymał swoją gazetkę, aby były pieniądze na opłacenie drukarni, introligatora i poczty. Natomiast Drukarnia nic innego wspólnego z Wydawnictwem gazetki nie ma, jak tylko to, że wyskłada ładnie dostarczone jej rękopisy i starannie je na maszynie odbije. Dobroć gazetki zależy głównie od redaktora naczelnego, jeżeli on dba o gazetkę, to gazetka musi być dobra. Administracja i Drukarnia nic tu nie pomogą. **Młody wierszokleta** z Pilzna: Humorystyczny monolog na konkurs otrzymaliśmy, ale bez podania swego nazwiska, jako autora. Nazwisko to znać musimy, inaczej do kosza. Wincenty **Kuglin:** Wiersz dobry — umieścimy. Jan **Twarduś** w N.: Pracę na konkurs otrzymaliśmy. Józef **Durak** w Stojancach: Do całorocznej prenumeraty brak tylko 2 zł. 80 gr. Numerów I-szych nie mamy wolnych, tylko w kompletach, inne w gminie przepadłe przesyłamy. Reklamację Pańską wkrótce wraz z innemi prześlemy do województwa, aby się przekonało, jak niektóre urzędy gminne stosują się do rozporządzeń ministerjalnych w sprawie doręczania abonentom czasopism, do czego były przed kilkoma tygodniami okólnikiem wezwane. Marja **Ryznerowa** w L.: Karteczka kilka godzin przyszła za późno. O ile Nr 37 nie doszedł, prosimy dać znać, a prześlemy powtórnie pod nowym adresem. Kaśka odpoczywa po żniwach. Za pozdrowienia dziękujemy i wzajemnie pozdrawiamy; o artykuły obiecane prosimy. Helena **Ciebierowa** w Dębicy: Urząd pocztowy nareszcie odpowiedział, a to w ten sposób, że zmieniając swoje nazwisko, powinna była Pani zameldować się u listonoszy lub w urzędzie pocztowym. Wiedzieliśmy o tem „meldowaniu", ale gdy ktoś otrzymuje na „Poste restante", ale nie wtedy, gdy się podaje dokładny adres i podaje także numer domu. Dalej podaje urząd pocztowy w Dębicy, że listonosze nie mogąc się nigdzie!! dowiedzieć pobytu Pani, „Rolę" zwracali do administracji (ale której, bo do naszej żaden nie wrócił). Dowiadywali się wszędzie, tylko nie tam, gdzie wskazywał wyraźny adres na opasce. **J. Fiałkowski** w M.: Na konkurs tylko jednostronicowe. Dłuższy, o ile się nada, wydrukujemy chętnie poza konkursem. Prosimy przysłać odwrotnie, a zamieścilibyśmy po „Ucieczce Archanioła".

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył W. Ciepiela z B.).

☆ ☆ ■ ☆ ☆ Niedowiarek.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Ptak.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Piękność.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Służba żołnierska.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ W czci u pogan.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Wschodni władca.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Odpis.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Ostrza u broni.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Mara.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Brzydka pogoda.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Święte miejsce innowierców.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Zamożny rolnik.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Powieść Sienkiewicza.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Broń.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Instrumenta muzyczne.

Litery środkowe, czytane z góry na dół dadzą nazwę jednej z bitew wielkiej wojny.

2. Szarady.

I

(Ułożył Jan Patulski z S.).

Wówczas to cały szedł na wroga,
bo miał potężne pierwsze trzecie.
Wprowadził kraj na dobre drugie trzecie
i drżała przed nim horda sroga.
Ponieważ był to król wspaniały,
pełen odwagi, męstwa, chwały.

II.

(Ułożył Jan Piwowoński).

Całość znajdziesz w muzyce, rośnie też w ogrodzie,
Pierwszą trzecią zobaczysz zazwyczaj na wodzie.
Drugą trzecią w teatrach dość często śpiewają,
Drugą pierwszą w salonach zwykle ustawiają.
Trzeciej drugiej z literą dzicy używają
A zwłaszcza gdy na łowy gdzieś się wybierają.

3. Łamigłówka w trójkącie.

(Ułożył Antoni Król z B.).

☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ? ?
☆ ■ ■ ■ ■ ■ ■ Związek chemiczny
☆ ■ ■ ■ ■ ■ Zjazd biskupów.
☆ ■ ■ ■ ■ Sprzęt domowy.
☆ ■ ■ ■ Rzeka w Szwajcarji.
☆ ■ Spółgłoski.
☆ Samogłoska.

Wyrazy czytane mają być poziomo i pionowo. Pierwsze rzędy dadzą nazwisko szerzyciela oświaty.

4. Zagadki.

I.

Jestem sobie bardzo mała
Lokatorka wasza stała,
Wszystkich dręczę, co mam siły,
Mój zwyczaj jest niemiły.
Dawniej znów bandytą byłam,
Niejednego ograbiłam,
Dzisiaj tylko dla uciechy
Kupujecie moje śmiechy.

II.

(Ułożył F. Ciebiera).

Nie ma panna, ni dziewczyna,
Lecz mężczyzna, mąż i żona.
Ma to żak mały chłopczyna,
Ma też żyd, a nie ma bona.
Gdyby tak nie było tego,
Niktby nie był zwyciężony,
Zresztą, jest to u każdego,
Ma to każdy przełożony.

5. Zagadka matematyczna.

(Ułożył F. Ciebiera).

Pewna grupa osadników, składająca się z czterdziestu osób, otrzymała zapomogę rządową w sumie 400 zł. Z tych pieniędzy każdy mężczyzna miał dostać 30 zł, każda kobieta 20 zł., a każde dziecko po 5 zł. Jest pytanie ile było mężczyzn, kobiet i dzieci?

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy w nagrodę dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 25 bm.

Znaczenie zagadek z Nru 36 „Roli": 1. Logogryf: Antoni Malczewski. 2. Szarady: papierosy, mandolina, koniczyna, krytyka. 3. Logogryf: Kowalczyk. 4. Zagadki: słońce, oset, bób. 5. Przestawianka: Litwo, Ojczyzno moja, Ty jesteś, jak zdrowie. Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Alfons Czader z S. W., Jan Grzyb z G., Wiktorja Mikówna z Z., Florjan Ciebiera z Rz., Józef Kapuściński z L. (wierszem), Jan Czeluśniak z W., Jan Skoczek z D., Wł. Maniewski z D. (wierszem), Adolf Liebeskind z K., Wł. Szewczuk z J., Ignacy Aksak z K., Piotr Wenc z S., Rozalja Święcicka z D. Wł. Marko z K., „Yoga" z K., Jan Patulski z S., Jakób Cichoń z P., Piotr Adamczyk z G., Józef Topolski z P. G.

Nagrody wylosowali pp.: Wł. Marko z Krakowa i Jakób Cichoń z Paszkówki.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni «Czasu« w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Ostrożny ojciec.

— Czyż mąż pani nie stara się leczyć, aby usunąć wzmagającą się głuchotę?

— Nie, chce on odczekać, aż dzieci przestaną brać lekcje muzyki.

Król angielski Edward, trzymał ostro swe dzieci. Raz w czasie obiadu odzywa się książe Walji, dzisiejszy król Jerzy:

— Tatusiu!...

Ojciec spojrzał nań surowo i rzekł:

— Dziecko powinno odpowiadać tylko na pytania, a ja się o nic nie pytałem.

I jadł spokojnie, a gdy skończył, zapytał syna:

— No... i cóż chciałeś powiedzieć?

— Już za późno! — ten na to. — W sałacie, którą tatuś zjadł, była gąsienica!...

— Dlaczego pies kiwa ogonem?

— Bo jest od niego silniejszy. Gdyby było odwrotnie, ogon kiwałby psem.

Anegdody.

Na początku obecnej wojny zjechał się cesarz Franciszek Józef z Wilhelmem. W trakcie rozmowy pyta władca Austrji swego sprzymierzeńca:

— A do którego roku życia myślisz powołać pod broń obywateli?

— Aż do mojego wieku! — odparł zagadnięty.

— To i ja zrobię to samo!... — odparł Franciszek, zapominając, że już dawno przekroczył ośmdziesiątkę.

Znawca biblji.

— A skąd pochodził Lot?

— Z Wieliczki... proszę księdza katechety!

W buduarze.

— Jaką pan lubi herbatę?

— Herbata jak kobieta ma być gorąca, słodka, ale nie powinna za bardzo naciągać!...

Numerów z r. 1926 t. j. od początku wydawania „Roli" posiadamy jeszcze tylko po kilkanaście egzemplarzy i kosztują tylko 1 zł. 50 gr.

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli" lecz: Konto pocztowe 406 301 Kraków.

Gdy wyczytasz ogłoszenie
I uczynisz zamówienie.
Pisz wyraźnie i powoli,
Żeś to czytał w naszej Roli.

Konkurs.

Chcąc zachęcić naszych Czytelników do próbowania sił na polu literackim, a innym dać jak najwięcej rzeczy ciekawych do czytania, ogłaszamy niniejszem konkurs na powiastkę, opowiadanie, legendę, bajkę, humoreskę lub wreszcie artykuł poważny.

Warunki konkursu są następujące:

Utwór musi być oryginalny, to jest z nikąd nie przepisany, ani przez nikogo innego nie opowiedziany. Musi zawierać treść zajmującą, odpowiednią dla „Roli", napisany w formie przystępnej. Objętość utworu nie może zajmować więcej aniżeli jedną stronnicę „Roli". Musi on być pisany czytelnie, po jednej stronie papieru.

Prace można nadsyłać już. Termin zamknięcia konkursu podamy nieco później. Jako nagrody za najlepsze utwory przeznaczamy kilkanaście cennych książek powieściowych, które otrzymają autorowie 10 najlepszych utworów. Tak nagrodzone, jak i nienagrodzone a dobre utwory będą drukowane kolejno w „Roli".

W razie napłynięcia większej ilości dobrych utworów ilość nagród powiększymy.

Celem ułatwienia pracy sądowi konkursowemu, złożonemu z wydawcy i Redakcji „Roli" prosimy o wczesne nadsyłanie utworów.

Redakcja „Roli".